Miesięcznie 95 groszy
Prenumeratę przyjmuje każda poczta!

1 egz. 30 groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok III. Niedziela, dnia 13 stycznia 1935 r. Nr. 2



Z tęsknych dni...

Zdala od ciebie ciche szczęśliwe,
Pędzę tu życia mojego dni —
Lecz czasem odległe, tak dziwnie żywe,
Wstawają mglistej oddali sny.

Czasem. . wieczorem w przebłyskach szronu,
Gdy noc w księżycu zastygnie biała,
Echa wracają cichego domu,
Gdziem z przędzy złotej dumki splatała.

I wtedy cicha i rozmarzona,
Tęsknię za szczęścia złudą straconą,
A za oknami pieśń wichru kona
I gaśnie melodją dawną... znajomą.

„Kalina"

Na fałszywym torze

(Powieść współczesna) 19.

— Aluś, jeszcze raz błagam — przebacz mi! Postaram się zmienić, opanować się.

Milczenie.

— Aluś uczynię wszystko, co tylko zechcesz!

Wreszcie spojrzała na niego. I nagle — uderzyła go przerażającem olśnieniem potęga jej cierpienia i żalu, skupionego w jej wyrazistym wzroku... Alež tak, to była — nienawiść! Mocna, namiętna nienawiść do dręczyciela!!

Pod stopami rozciągał się szafirowy, kłębiący się w ramach horyzontu bezmiar wód. Morze kołysało się wabnie, kusiło, wzywało. Obejmie, utuli, na zimnem łonie do snu, jak najczulsza matka.

Aparat obniżył się. Roman był zdecydowany. Odwiązał nieznacznie rzemienie, przypasujące Beatę do siedzenia. W tej chwili świat spojrzał na nich z boku, z góry. Morze i niebo zamieniły swe role. Fale wód szumiały nad głowami, bezdenne sklepienie niebios stało się u stóp przerażającą głębią, kusiło oparciem o pierzaste obłoki.

Beata oderwała się od siedzenia jak błękitny spadochron. Z krzykiem, tłumionym pędem powietrza, pędziła w rozwarte ramiona toni morskiej. W Romanie odezwał się nieprzewidzianie instynkt głodu życia. Zakrzyczały w jego umyśle głosy wszystkich refleksji i namiętności. Gwałtownie, ostatkiem sił przywrócił aparat do równowagi. Przerażony spojrzał w dół. Morze lśniło powierzchnią siną, obojętną, majestatyczną...

ROZDZIAŁ XXIII.

Zatrzaśnięte wrota szczęścia.

Nigdy jeszcze po powrocie z zagranicy nie uderzyła Ryszarda Goreyki z tak nieubłaganą wyrazistością pauperyzacja własnego kraju, jak obecnie. Po beztrosko gwarnym, a zarazem gorączkowo rojnym Paryżu, rzucała się w oczy sztuczna, snobistyczna elegancja Warszawy, krańcowa rozbieżność między wyglądem sfer uprzywilejowanych, a nędzoty. Brudne, obszarpane dorożki samochodowe, wyświechtane zarzutki, wykrzywione buciki. Twarze ponure, z wyrazem rezygnacji lub niezaspokojonych pragnień. Chroniczny stan ograniczania się, poczucie bezradności i niemocy wobec przemocy faktów, wyreżyserowały ten tłum statystów wielkiej tragedji życia z apodyktycznem mistrzostwem.

Goreyko czekał w kawiarni na Ozonicza, który miał nadejść za chwilę. Wysłał go do Stawnic do księcia Pomireckiego, aby dokonał obliczeń po ukończeniu budynków. Pałac był już odrestaurowany, willa w Warszawie gotowa. Sam przed sobą ukrywał, że właściwie chodziło mu o dowiedzenie się nowin o Beacie. Czy też wie, że on jest wolny? Czy jest szczęśliwa? Czy bardzo się zmieniła?

— Właściwie co mnie to może obchodzić? Drogi nasze rozeszły się raz na zawsze. Okazało się, że i ta wyjątkowa w moich oczach kobieta umiała oszukiwać, kłamać i prowadzić dwulicową grę, jak każda inna — i jak każdy inny. Bo niby dlaczego à tout prix przypisywać sztukę kłamstwa wyłącznie kobietom? Przecież to właśnie my mężczyźni mamy niewyczerpany arsenał kłamstw, gdy chodzi o usidlenie kobiety, o trzymanie jej w szachu, i wreszcie — o puszczenie jej kantem...

Spojrzał przez okno. Październik. Miesiąc pożegnania litościwej, dobroczynnej przyrody. Jeszcze słońce umiało uśmiechać się uroczo z za chmur, jeszcze przypominało żarem więdnącej piękności minioną rozkosz pieszczot i upojeń. Październik. — Rok minął od owej chwili, gdy Beata jak bezradne dziecko wezwała jego pomocy, nie mogąc wydostać się z sideł paternostra. Lecz gdy los zaplątał ją w inne sidła, gdy zmuszona była cierpieć za cudze winy, zwróciła się po pomoc do człowieka, którego uważała za swojego właściwego przyjaciela!

Pocóż myśleć o tem? Lepiej zapomnieć. Jest wolny, może rozporządzać swem życiem. Zatrzymał udział w przedsiębiorstwie dzięki własnym oszczędnościom, no i dzięki korzystnej pożyczce. Ozonicz jest jednak nieoceniony. Jak zręcznie umiał zabrać się do dyrektora Maszczyńskiego! Chociaż ten Maszczyński, to spryciarz, kuty na cztery nogi. Napewno nie wyjdzie źle na tej transakcji.

— Mój były teść okazał się również porządnym człowiekiem. Przyznał mi rację. Zadowolony widocznie, że będzie dalej prowadził jego agendy. Ale cóż mi teraz po wolności? Właściwie nie wiem, co z nią począć. Beata — nie, niema Beaty. Niema i nie było. Jest praca wysiłek i walka. No, nareszcie idzie Ozonicz. Co opowie? — przemknęło się przez mózg Ryszarda pytanie, wprawiające w łomot widocznie niezabliźnione serce — wbrew logice powziętego postanowienia...

— Moje uszanowanie! Powitać pana prezesa! Gdy tylko otrzymałem rano telegram, wyjechałem do Stawnic. Przepraszam za spóźnienie, ale książę odesłał mnie samochodem. Na naszych zabójczych drogach nie obejdzie się przecież bez defektu. Śliczny dzień! Tutaj w Warszawie nie można mieć wyobrażenia, jak piękna jest przyroda w jesieni. Ale na wsi! Kelner, kto tu podaje? Mieczysław? Proszę zamówić u niego kawę, pieczywo i masło! — Celowo odraczał treść rozmowy. Przeczuwał, o co chodzi Goreyce przedewszystkiem.

— No i jakże tam doktorze? Obliczenia zakończone?

— Zupełnie. Książę dał mi czek do banku na resztę należytości.

— Doskonale. Jutro obliczymy z Gawrzynem każdą pozycję. Potrzebny nam znaczny kapitał na kaucję. Wie pan przecież, że dostaliśmy budowę domów oficerskich. Trzeba będzie oglądać się już za zakupnem niektórych materjałów budowlanych, bo kto wie, czy na wiosnę nie będzie haussy.



Wielka sensację wzbudziła w St. Moritz hinduska Maharani Baroda, która z zapałem uczy się jazdy na łodzie. Mimo niewygody, nie zdejmuje ona podczas nauki tradycyjnego stroju.

— Panie prezesie, z tem mamy czas. Nie zapowiada się wcale tak wielki ruch budowlany!

— Nie szkodzi, zakupić trzeba. Możemy zastrzec sobie ewentualną zniżkę cen. Wie pan — jestem poprostu wstrząśnięty ogólną pauperyzacją kraju. Przecież i dawniej byli bogacze i nędzarze. A jednak nie było tak rozpacznej, zrezygnowanej bezradności wśród ubogich, tak bezwzględnej obojętności na nędzę wśród zasobnych w środki do życia i użycia.

— Krzywda wyzyskiwanych na rzecz wyzyskujących istniała zawsze — wtrącił Ozonicz z przekąsem.

— To prawda, lecz bytowali jakoś i ci i tamci. Rzecz jasna, że wyzyskujący byli mądrzejsi od swych ofiar. Bogacili się kosztem ich głupoty i nadmiaru pracy.

— Podział dóbr ekonomicznych oparty był na innych zasadach!

— Ale pracę mieli wszyscy, którzy umieli i chcieli pracować. A teraz żyją nędzarze kosztem ubożenia bogaczy. To jedyne, choć niebezpośrednie źródło. A że jest coraz bardziej wyczerpane, więc też wszystkim jest z dnia na dzień gorzej. Niema zdrowych źródeł dochodowych, jak dawniej: zapotrzebowanie własnego społeczeństwa i zagranicy na wytwory przemysłowe, swobodniejsza stopa życiowa.

— Dawniej zakładano ogniska rodzinne pod zbożnem hasłem, że, skoro Bóg da dzieci, to da i na dzieci. Zwiększała się rodzina, lecz i dochody także. Lata przynosiły wzrost dobrobytu, a nawet robiono oszczędności na stare lata. Dzisiaj oszczędzają tylko ci, którzy mają ustalone dochody i mogą ograniczać budżet kosztem odmawiania sobie najprymitywniejszych uciech — rzekł Ozonicz.

— Ubożał tylko utracjusz, kaleka, lub leń. A gdy przez kraj powiał wiatr

złej konjunktury i napływała fala bankructw. Trwało to krótko. Po pewnym czasie straty wyrównywały się, wszystko wracało do normy. Kupiec, przemysłowiec, czy też przedstawiciel innego wolnego zawodu zakasywali rękawy i zabierali się do zdwojonej pracy — jak rolnik po burzy gradowej, żyjący nadzieją, że co mu przyroda zabrała tego roku, to mu na przyszły rok odda w dwójnasób.

— A dzisiaj wulkan ekonomiczny grozi wybuchem wszystkim bez względu na odległość od krateru. Najgorzej z ruchem budowlanym. Jeżeli nie dopisuje, paraliżuje bezpośrednio kilka przemysłów i wpływa w ten sposób na martwotę obrotów.

— My mamy narazie dosyć pracy. Musimy kalkulować z małym zyskiem, aby skutecznie zwalczać konkurencję. — Co — hm — słychać zresztą w Stawnicach? — zapytał nieśmiało Goreyko, udając, że patrzy uważnie przez okno na ulicę. — Czy nie oczekują tam potomka? — A głos wewnętrzny niby satyr nieubłagany pokpiwał: „Nie dyskredytuj się... ośmieszasz się... co cię to obchodzi!"

— Nie wiem — być może. Księżna Beata stała się wogóle dziwnie zagadkowa i tajemnicza. Rozmawiałem z nią zaledwie przez kilka minut. Sztucznie opanowana, dziwnie martwa — tak jest nasztywniona arystokratyczną dystynkcją, że nie mogłem jej poznać. Nawet głos ma zmieniony. Rozmawialiśmy w salonie, przyciemnionym abażurami. Tłumaczyła, że nie znosi jaskrawego światła, że ją zaraz głowa boli, że jest niedysponowana. Pytała, gdzie spędziłem urlop, opowiadała mi w pięć, ni w dziewięć o Paryżu, Berlinie, Wiedniu. Po chwili wycofała się do swoich apartamentów. Wynikałoby z tego, że celowo się oszczędza. Więc może oczekują w Stawnicach następcy tronu. Wie pan prezes — jeżeli mam być szczery, to nasza Beata dużo straciła. Zrobiła się z niej nienaturalna, salonowa lala. Przyjechała do kraju dopiero przed kilku dniami w towarzystwie przyjaciela księcia, jakiegoś wynalazcy, inżyniera Ordy.

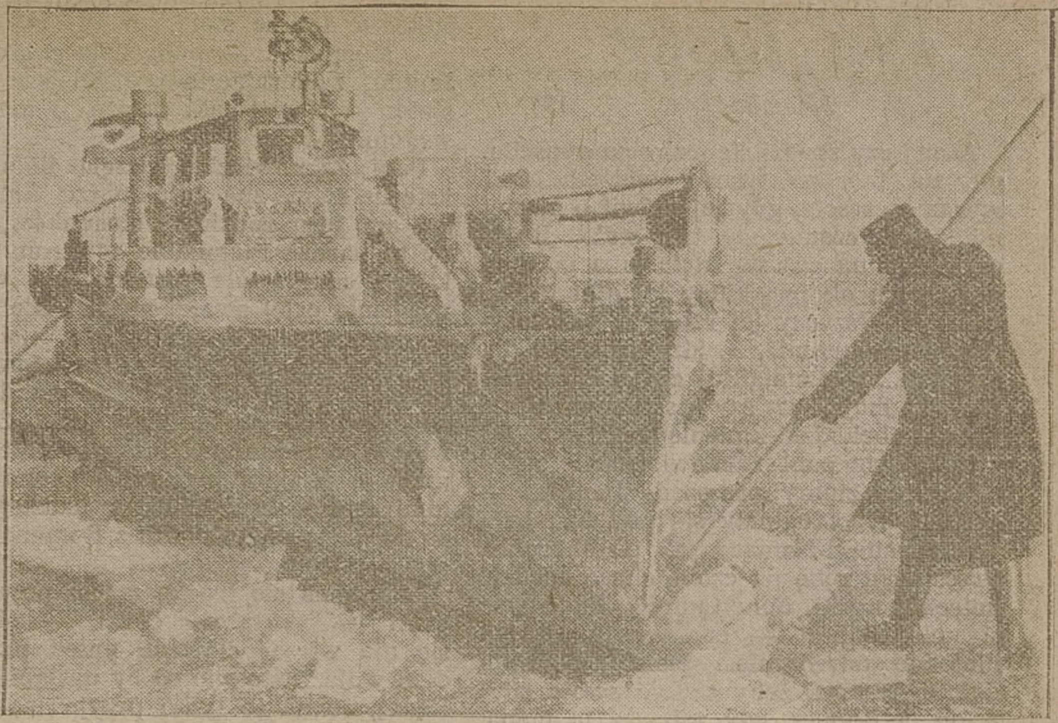
— Widocznie taka karjera odpowiadała jej planom i marzeniom — rzekł Goreyko posępnie.

— Ano widocznie. Książę wpatrzony w nią jak w bóstwo, nie śmie w jej obecności przemówić słowa. Dziwi mnie to, że on, człowiek z natury tak zazdrosny, toleruje więcej jak zażyły stosunek żony z tym przyjacielem.

— A czy książę zadowolony z naszej roboty? — zapytał Goreyko, chcąc widocznie zmienić temat rozmowy.

— Bardzo. Dawał mu kilkakrotnie wyraz. Nie targował się, nie czynił żadnych zarzutów. Dyrektor Gawrzyn pilnował jak oka w głowie prac u księcia. Wysyłał tam najzdolniejszych naszych inżynierów. Willa przedstawia się imponująco, a pałac w Stawnicach jest tak okazały, że stanowi dla nas doskonałą reklamę.

W tej chwili poruszyła się cała sala. Wszystkie oczy skierowały się ku wejściu. Ukazała się Joanna Saroni w towarzystwie dyrektora Maszczyńskiego i redaktora Konrada Orlicy. Artystka była przedmiotem rozmów całej Warszawy. Echa afery kokainowej nie przebrzmiały jeszcze, a jakkolwiek wyrok sądowy uniewinnił ją, to jednak zagadkowość jej roli otoczyła ją nimbem sensacyjnej tajemniczości.



W ostatnich tygodniach Prusy Wschodnie nawiedziły silne mrozy, które spowodowały, iż szereg małych okrętów, krążących w pobliżu Rosehnen, zostało unieruchomionych w dokach.

Maszczyński dojrzał Goreykę zdaleka. Przecierając zamglone szkła, kłaniał mu się serdecznie. Jaśka udawała, że rozgląda się po sali, lecz przypatrywała się ciekawie Goreyce. Wiedziała o nim to i owo od Beaty i domyślała się, jaką rolę odegrał w jej życiu.

— Piękny ten Goreyko — mówiła do Maszczyńskiego. — Rasowy chłop w każdym calu. Nie tak jak ty, mój Tatarzynie! — Od kilku tygodni była jego kochanką. — Okazał jej w ciężkich chwilach przejść dużo szczerego uczucia. Toteż doskonale czuła się pod jego opiekuńczemi skrzydłami, zwłaszcza, że mogła tyranizować wedle upodobania zakochanego w niej do szaleństwa Maszczyńskiego i korzystała z reklamy koncernu prasowego w całej pełni. — Ale wolę twoją kresową, djablikowatą urrodę! On jest dla mnie zbyt klasyczny, zanadto niewzruszenie posągowy!

— Zdawało mi się, że pani gustuje właśnie w klasycznej urodzie męskiej, panno Jano? — szepnął złośliwie Orlica.

— Co mówisz? — zapytał Maszczyński.

— Zamiast szukać stolika, bajdurzy coś o literaturze klasycznej. On mówi zawsze tak mądrze i uczenie, że nie można z nim pomówić rozsądnie ani słowa!

— Jasieczko, może chcesz usiąść w loży prezesa Goreyki? To bardzo miły człowiek. Mamy zresztą mówić pewne sprawy...

— Chętnie. Ale może on się nie zgodzi?

— Dlaczego? — Podszedł do Ryszarda. — Moje uszanowanie, panie prezesie. Witaj doktorze! Czy znajdzie się dla nas miejsce w loży panów?

— Prosimy! — rzekł Goreyko. Był bardzo zadowolony z takiego obrotu sprawy. Może od tej aktorki dowie się czegoś konkretnego o Beacie...

Ryszard i Jaśka spoglądali na siebie ukradkiem z wielkiem zainteresowaniem. Obustronne wrażenie było widocznie dodatnie. Nawiązała się wkrótce ożywiona rozmowa.

— Panie prezesie — rzekł Maszczyński — jutro odwiedzę pana z moim adwokatem. Skompletujemy i podpiszemy umowę w sprawie mojego udziału. Niechże i pan przygotuje waszego prawnego doradcę, bo zapowiada się dłuższe posiedzenie!

— Rozporządzamy teraz znacznemi kapitałami, bo klienci wypłacają za roboty, wykonane w lecie — wtrącił Ozonicz. — Właśnie wracam ze Stawnic. Ładnie zarobiliśmy na przebudowie pałacu i budowie willi księcia Pomireckiego!

— Był pan w Stawnicach? O, to mnie specjalnie interesuje — przerwała żywo Jaśka. — Widział pan może Beatę? — pardon! — księżnę Pomirecką?

— Owszem, nawet mówiłem z nią. Wprawdzie bardzo krótko...

— Cóż to, może i na dawnego swego kolegę nie łaskawa jej książęca wysokość?

— Pani Beata bardzo się zmieniła, to prawda.

— Skoro już o tem mówimy, to muszę państwu opowiedzieć, co mnie od niej spotkało. Tylko nie pospadajcie z krzeseł, bo to poprostu nie do wiary! Muszę zaznaczyć na wstępie, że przez cały czas jej podróży poślubnej korespondowałyśmy ze sobą bardzo serdecznie. Łączy nas przecież zażyła przyjaźń. Pochodzimy z jednego miasta, chodziłyśmy razem do gimnazjum, bywałam u niej w Stawnicach, gdy mieszkała tam z ojcem jako panna i jako wdowa.

(Ciąg dalszy w nast. numerze.)

Na łasce

(Powieść) 19)

A on? czy zgodzi się, żeby go opuściła, on, na którego twarzy widziała taki wyraz szczęścia, gdy jej mówił o swojej miłości?... czemu się tak stało, Boże! czemu? I na cóż się zdała taka potężna miłość ich obojga, kiedy jej nikt nie uwierzy? Wszyscy jej rzucą w oczy szyderskie oskarżenie, że idzie za niego dla majątku... dla majątku! czy ona potrzebowała majątku? czy nawet wiedziała jak się obchodzić z pieniędzmi?

Co powie pani Żarnowiecka?...

Dreszcz zimny przeszedł Janinę... — Wstała. Nogi uginały się pod nią, była wyczerpaną i złamaną jak po chorobie. Przesunęła rękę po czole, chcąc spędzić natrętne myśli, oprzytomnić. Poddawać się nie wolno! — czekały ją jeszcze niejedne udręczenia... panna Olimpja dobrze radziła, żeby skupić swoje siły! A on, a Roman, gdy zobaczy ją bladą, chorą, bezsilną?... przerazi się, zmartwi... jemu tego oszczędzić trzeba.

Z silnem postanowieniem zapanowania nad sobą, pokrzepiona modlitwą, spać się położyła.

* * *

— Mam dla państwa dwie wielkie nowiny! — wygłosiła pani Żarnowiecka, wchodząc nazajutrz rano do jadalnego pokoju na śniadanie, gdzie zastała Natalję i księcia. Janina przy bocznym stole nalewała herbatę w filiżanki.

— Jedną już wiem, — rzekł książę. — Roman mi mówił, że ojciec jego w tych dniach do Wasilec przyjeżdża... wszak to pani miała na myśli?

Łyżeczka upadła z hałasem z drżących rąk Janiny i pani Żarnowiecka obejrzała się niecierpliwie.

— Un peu plus d'adresse, ma chere! — rzekła.

— Tak, — dodała zwracając się do księcia — mój kuzyn przyjeżdża do Wasilec... Wielka to dla mnie przyjemność, bo dawno go już nie widziałam. Ale niechże książę wpłynie na Romana, żeby się nie zrywał jechać zaraz... może mu zaszkodzić.

— Wątpię, czy go zatrzymamy, bo i on także dawno ojca nie widział..., zresztą, pojadę z nim...

— Jakże nam smutno będzie... — wtrąciła Natalja z westchnieniem.

Książę skłonił się z galanterją i jednocześnie, odbierając z rąk Janiny filiżankę herbaty, która mu przyniosła.

— Serdeczne dzięki! — rzekł.

— Jakaż druga nowina? — spytała Natalja, uprzejmie zwracając się do hrabiny.

Pani Żarnowiecka przybrała uroczysty wyraz twarzy.

— Moja Kamilka rozrządziła swoją ręką... — rzekła trochę sztywnie. — Mam obowiązek oznajmić miłym moim gościom, że została narzeczoną pana Walickiego... Trochę to może za szybko się stało... trochę lekkomyślnie, mais enfin!...

Obecni złożyli matce życzenia.

— Dla czego hrabina mówi, że za szybko? — wtrącił książę. — Walicki bardzo porządny chłopiec i dość majątkowo dobrze stoi...

— Majątek!... — pomyślała z goryczą Janina, zabierając swoje miejsce przy stole. — Nawet taki książę, o majątku wspomina...

Pani Żarnowiecka zaczęła tłómaczyć księciu, że nie zna dość dobrze Walickiego, ani jego rodziny i stosunków, było by to bardzo racjonalne ze strony troskliwej matki, ale hrabina nie wypowiedziała całej swojej myśli... Nie kryła jej jednak przed Kamillą, gdy ona drżąca, z rozrzewnieniem i nieśmiałością, przyszła dziś rano do łóżka matki, wyznać jej, co ją spotkało. Pani Żarnowiecka uwiadomioną już była przez Romana o bliskim przyjeździe pana Bronimirskiego do Wasilec i nadzieje jej, co do połączenia Kamilli z Romanem, na nowo odżyły.

— Mogłaś się trochę z tem powstrzymać! — rzekła do córki. — Mogłaś się nie wiązać słowem, przed przyjazdem wuja... Kto wie co by nastąpiło... — Ręczę, że na to tylko przyjeżdża tutaj, żeby skończyć sprawę waszego związku z Romanem...

Kamilla na prawdę się oburzyła.

— A! — zawołała. — Więc mama sądzi, że Roman ,który prawie cały rok u nas siedzi, potrzebowałby obecności i presji ojca, aby mi się oświadczyć, gdybym mu się była podobała? Od dawna już wiem — i mama także, że on wcale żenić się ze mną nie myślał. Dość długo miałam zawróconą głowę tem małżeństwem... Zresztą, ja pana Stanisława kocham... Romana zaś uważam za brata.

Hrabina nic już nie odpowiedziała. Stłumiła w sobie niezadowolenie, pewna, że gdyby Kamilla była dobrze wzięła się do rzeczy, wszystko by inny obrót wzięło... a teraz — przepadło!

— Tak, tak! — mówiła do księcia z westchnieniem — trafiło mię to niespodzianie... Nie mam wprawdzie nic do zarzucenia panu Walickiemu, ale wolałabym, żeby Kamilka nie tak się pośpieszyła...

Naturalnie! hrabina Żarnowiecka nigdy nie była zadowoloną z tego, co się stało, a przedewszystkiem, co się stało, nieprzygotowane i nakazane przez nią...

Hałas jakiś rozległ się pod oknami. To Kamilla w towarzystwie Stanisława i Alfreda Łuckiego, jako opiekuna narzeczonych, wracała z konnej wycieczki.

Weszła do pokoju zarumieniona jazdą, tryskająca wesołością i ożywieniem; wesoła nuta, którą zawsze i wszędzie we wszystkiem i w każdej okoliczności znalazła, dziś wybitniej się objawiała niż kiedykolwiek.

— Jaka ona szczęśliwa! — szepnął ks. hrabinie, podczas gdy Kamilla ze śmiechem przyjmowała życzenia Natalji.

Pani Żarnowiecka nic nie odpowiedziała, ale Janina schwyciła wyraz jej twarzy pełen rozrzewnienia, który się tam na chwilę, bardzo krótką chwilę pojawił...

— A Roman? — zawołała Kamilla obracając się żywo wokoło. — Niema go tutaj! mój kuzynek nie spieszy z życzeniami?... czy wyjdzie dziś do nas?

— Zatrzymałem go gwałtem w pokoju — odparł książę — mówiąc, że pani udała się na konną przejażdżkę. Chciał panią widzieć... Lada chwila się zjawi.

— Janinko złota! zawołała Kamilla, załatwiwszy poprzednią sprawę i przeskakując z żywością jej właściwą do drugiej. — Pomimo, że jestem bardzo... zajęta... — spojrzała w porozumieniu szybkiem spojrzeniem na Stanisława — głód szalony mi dokucza! Jeżeli nie chcesz bym umarła, daj mi coś zjeść... ale dobrego.

— Kamilko... — strofowała hrabina. — mogłabyś pierwej zapytać pana Stanisława czy nie głodny... ty zawsze najprzód myślisz o sobie...

— Och! pan Stanisław nie da sobie krzywdy zrobić! zresztą, nasza kochana gosposia i o nim pomyśli. Prawda, Janinko? — dodała do Janiny, która przyszła ją pytać co właściwie „dobrego" ma jej kazać podać? Kawy? herbaty? szynki?

— Herbaty... i wiesz co? ten torcik czekoladowy... wiesz? musi być jeszcze kawałek? doskonały!...

Zaledwie Kamilla włożyła w usta pierwszy kawałeczek pożądanego torcika, drzwi się otworzyły i wszedł Roman. Porwała się natychmiast z głośnym okrzykiem i wyciągając ręce, pobiegła ku niemu.

— Na pana miejscu byłabym zazdrosną... — szepnęła Natalja do Stanisława, który się tylko uśmiechnął, pewny swego.

Kamilla pociągnęła Romana do okna, usuwając się, żeby nikt nie słyszał ich rozmowy.

— Nie wiem, kto komu pierwszy ma składać życzenia... — rzekła z filuterną minką, nie dając mu dojść do słowa.

Roman ręce kuzynki przycisnął do ust wzruszony bardzo; był okropnie blady.

— Powiedziała ci już?.. — szepnął. — I cóż ty na to mówisz?

— Żeś dobry, szlachetny i poczciwy... — odparła ze szczerością. — Patrz, jaka ona zmięszana biedna... muszę wam pomagać, bo się zdradzicie oboje. Zapewne nie chcesz jeszcze, by się kto dowiedział?

— Najprzód mój ojciec... Dziś jadę do Wasilec... zostawiam ją pod twoją opieką.

— Kamilko! — zawołała hrabina, — może już dość tych czułości? herbata twoja stygnie, a może i Roman głodny?

XIII.

Roman z księciem odjechał. Nie mogąc prawie ani słowa przemówić z Janiną, napisał do niej serdeczny i długi list, w którym błagał ją, by była spokojną i miała w nim zaufanie. Jedzie do ojca, a wkrótce, bardzo niedługo, wróci żeby ją wraz z całym Żarnowieckim domem zaprosić do Wasilec. Musi ojcu zaprezentować swoją narzeczoną...

W liście tym, była taka pewność siebie, taka szlachetna prostota, rzeczy przedstawiały się w tak naturalny sposób, jakgdyby żadna trudność w związku ich nie zachodziła, a przedewszystkiem, widać było z tych słów gorącą, głęboką miłość jego dla niej, miłość dla której żadna przeszkoda nie istnieje.

Odebrawszy list ten z rąk Kamilli, Janina przeczytała go z nią razem i płakała... płakała z rozrzewnienia i bólu...

Wyspowiadała się przed przyjaciółką z obaw swoich i udręczeń, w jakie nienaturalne jej położenie ją wciągnęło... Kamilla, choć roztrzepana i wcale nie poważnie zapatrująca się na życie, więcej miała światowego doświadczenia od Janiny, która przybywszy prosto z pensji do Żarnek, trzy lata poza obręb wsi nie wyjechała. Kamilla też nie kryła przed Janiną, że na małżeństwo takiego człowieka jak Roman, cały świat arystokratyczny oczy ma zwrócone, że nie obejdzie się bez komentarzy — plotek... ale ze zwykłą swoją lekkomyślnością nie zastanawiając się nigdy nad niczem zbyt długo ani poważnie, pocieszała Janinę, że jakoś to będzie...

Biedna Janina! więcej niż kiedykolwiek czuła, jak to źle być samą na świecie!

W kilka dni potem otrzymała pani Żarnowiecka list od pana Bronimirskiego, w którym, przepraszając, że nie może sam zjechać do Żarnek, z powodu, że sparaliżowana noga utrudnia mu ruch każdy — szczególnie powozowy — prosi ją do siebie z córką, jej narzeczonym i wszystkiemi gośćmi, którzy w tej chwili w Żarnkach się znajdują. Jeżeli zaproszenie starego krewnego przyjemność uczyniło hrabinie, za to dopisek mocno ją zirytował... W dopisku tym pan Bronimirski prosił wyraźnie o przybycie panny Janiny Strzelickiej, o której mu książę wspominał, że bawi w Żarnkach jako wychowanka hrabiny, a której ojca znał kiedyś doskonale.

Nie wypadało stawiać opozycji, hrabina znała dobrze swego kuzyna, magnata demokratę — jak go zwała, który lubił niewłaściwe takiemu panu towarzystwa... Co jemu zależy na takiej Janinie? i co ona tam robić będzie? a! niech sobie jedzie!

Natalja, usłyszawszy, że została zaproła także zaproszoną, czuła się w obowiązku drożyć ze swoją osobą, choć najgorętszem marzeniem jej było zobaczyć Wasilce i poznać ojca Romana.

— To niepodobieństwo!... ja się narzucać nie mogę! Będzie sama prawie rodzina.

— Jeżeli pani Janinę zalicza do rodziny! — odrzekła z humorem pani Żarnowiecka.

— A więc i panna Janina jedzie?...

— Otrzymała specjalne zaproszenie — jak panująca! — rzekła hrabina z dąsem. — Wątpię czy jej samej zrobi to wielką przyjemność... être tellement dépaysée... Ale ona z pewnością skrupułów nie będzie miała, takich jak pani.

— Doprawdy... obawiam się, że będę państwu niepotrzebnym sprzętem... i tak już nadużywam gościnności pani.

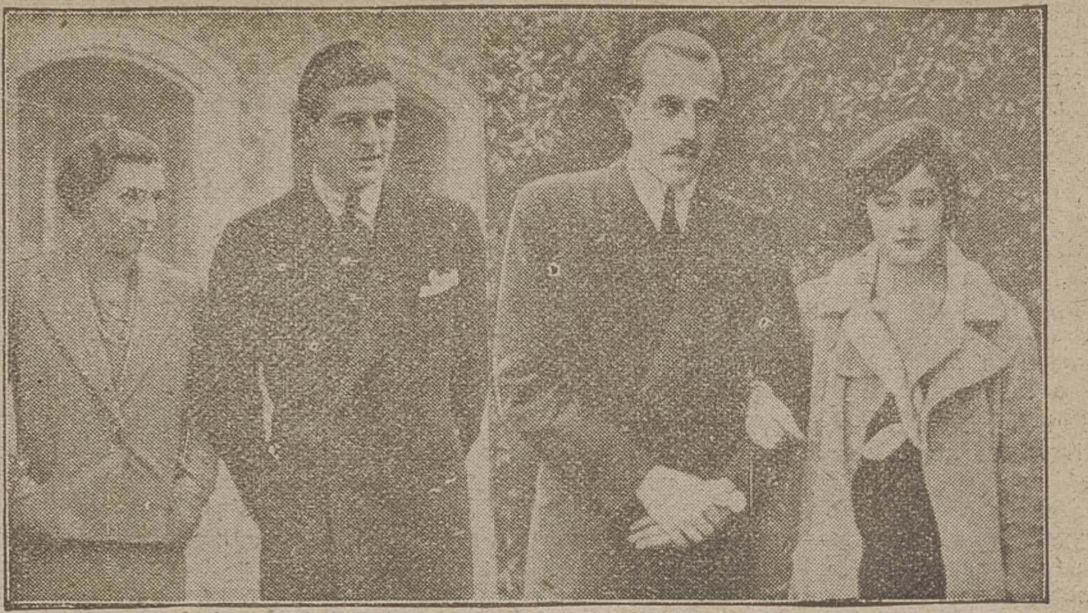
— Och! co też pani mówi! — protestowała pani Żarnowiecka.

Nastąpiła wzajemna wymiana czułości i ostatecznie Natalja dała się namówić na podróż do Wasilec.

Niespodziewanie trudniej poszło z Janiną. Hrabina krótko i niechętnie oznajmiła jej, że pojedzie.

Biedna dziewczyna, pomimo, że uprzedzona przez Romana, zadrżała z obawy w stanowczej chwili.

— Ja?... ja mam jechać? — szepnęła.



Z lewej strony książę włoski Torlonia, który zaręczył się z córką ekskróla hiszpańskiego Alfonsa, infantką Beatrice. Druga para narzeczonych to syn b. króla Hiszpanji, don Jaime i Emanuela Raspoli.

— Biorę cię z sobą, — oświadczyła pani Żarnowiecka stanowczo, gdyż podniecił ją przestrach Janiny; opozycji nie znosiła...

— Pani hrabino... — próbowała się wymówić, odrzecz to co ją czekało, bo przeczucia jakieś niedobre szarpały jej duszę.

— Cóż to znaczy? powinnaś mi być wdzięczną, że daję ci sposobność przejażdżki, przyjemności, a ty się wymawiasz? doprawdy nie rozumiem!

Kamilka, obecna tej rozmowie, zrozumiała doskonale, czemu Janina waha się i obawia.

— Janinko, — rzekła serdecznie, — nie bądź tak mało odważną... nic ci w Wasilcach nie grozi; zresztą, nie możesz nie jechać, kiedy wuj prosi.

Janina także wiedziała, co Kamilla miała na myśli, mówiąc do niej w ten sposób i podziękowała jej smutnym uśmiechem.

— A propos... — dodała hrabina. — Chcę, żebyś była porządnie ubraną, kiedy już masz pokazać się w obcym domu... Napisz do Lwowa, niech ci przyszlą suknię gotową... Może tam coś dla niej wymyślisz stosownego, Kamilko?

Przyjmować dobrodziejstwa od hrabiny, w tej chwili, gdy kto wie czy za dni parę nie będzie w niej miała śmiertelnego wroga — niepodobna było Janinie...

— Dziękuję pani bardzo... — rzekła, zdobywając się na odwagę, — mam wszystko, czego mi potrzeba...

Hrabina na nią spojrzała zgóry, zdziwiona.

— A... tem lepiej! — rzekła obojętnie. — Ale skądże to masz, jeżeli wolno wiedzieć? — dodała nieco ironicznie. — O ile mi się zdaje, nie posiadasz żadnych dochodów.

— Kazio mi przysłał pieniądze... — wyznała z prostotą, — kupiłam sobie batystu na dwie suknie, które właśnie szyję.

— Batystu! lepiej było coś praktyczniejszego kupić... ale mniejsza o to! Korespondujesz ze swoim bratem! — dodała niby obojętnie a ciekawie.

— Zawsze korespondowałam...

— Jakże się miewa pan doktor? — spytała z przyciskiem hrabina.

— Dziękuję pani... bardzo dobrze. Praktykę jak na początek, ma dość liczną, dochody nie złe...

— Widocznie nie złe, kiedy tobie przysyła... Dobrze choć, że o siostrze pamięta, kiedy o innych mieszkańcach tego domu zapomniał...

Ostatnie słowa wymówione były z pewną goryczą. Dawno już hrabina nie rozmawiała z Janiną inaczej, jak tylko wydając jej rozkazy, lub napominając... Ośmielona dobrem usposobieniem opiekunki, młoda sierota zdobyła się na odważną odpowiedź:

— Kazio nie zapomina nikogo... o swojej ciotce wyraża się z szacunkiem i tęsknotą i radby dożyć chwili, w której jego banicja się skończy...

— Tak?... tęskni, pamięta? dobrze. Może przyjechać... na ślub Kamilli.

Hrabina pragnęła dać uczuć córce niestosowność jej poprzedniego uczucia dla Kazimierza... ale Kamilla nie wzięła tego do serca.

— Pozwala mama? Chwała Bogu! najmilszy to będzie mój podarunek ślubny od mamy, gdy zgoda z Kaziem nastąpi!

I nie czekając na odpowiedź matki, odbiegła, zabierając z sobą Janinę.

W kilka dni potem Roman przyjechał, towarzyszyć paniom w wycieczce do Wasilec.

Hrabina prawdziwie ujęta była galanterją kuzyna, nie spodziewając się wcale, że nie dla niej to uczynił... Roman przyjechał, stęskniony za swoją ukochaną, przypilnować, żeby jej przypadkiem nie zostawiono w domu.

Znalazł, że Janina zbladła przez tydzień jego nieobecności, szalenie pragnął pogadanki z ukochaną, czuł, że i ona potrzebuje zaczerpnąć otuchy w jego towarzystwie, a w obecnym składzie osób będących w Żarkach, tak trudno było znaleźć się z nią sam na sam...

Dzięki jednak poczciwej Kamilli, sposobność się znalazła. Najnaturalniej w świecie, wieczorem w dniu przyjazdu

Romana, z własnego popędu, wybrała się na przechadzkę z narzeczonym, biorąc Janinę za opiekunkę; a Romanowi szepnęła, żeby ich czekał w umówionem miejscu. Stanisław, dawno już był wtajemniczony przez Kamillę co do stosunku Romana z Janiną, nie dziwił się więc wcale, gdy na zakręcie ścieżki w parku, pojawił się Roman. Chodzili sobie we czwórkę, nie zawadzając sobie wzajemnie, bo każdego z nich zajmowały więcej osobiste sprawy niż obce. Rozmowa stawała się nawet czasem ogólna, nie krępując zbytecznie doskonale dobranego kółka.

— Połaj ją Romku, — mówiła wesoło Kamilka, wskazując na Janinę, smutna ciągle i zamyślona. — Prawda, że pan uczyniłby to samo, gdybym tak się zachowywała jak Janina! — zwróciła się z figlarnym wyrazem do Stanisława.

Nastąpiła wymowna odpowiedź Stanisława, a tymczasem Roman mówił do Janiny.

— Smutna i zamyślona... o czem? czemu smutna? Oj! źle się dzieje, jak kto nie pilnuje swoich skarbów!

— Tego skarbu — jak pan mówi, — nikt nie pożąda! — odrzekła w zwątpieniu. — Może pan być spokojny...

— Najgorętszym wrogiem człowieka jest jego własne ja — rzekł Roman. — Gdybym mógł zabrać ci twoje myśli i niepotrzebne troski, moje szczęście!... Widzę jak jesteś udręczona, biedna, pobladłaś mi, zmizerniałaś... a ja chciałbym, żeby na całym świecie nie było szczęśliwszej od ciebie istoty!

— Czemu pan jesteś tak bogaty! — nie mogła się powstrzymać, żeby nie zawołać.

Przejęty tym wykrzyknikiem świadczącym o wysoko rozwiniętem w niej poczuciu delikatności i prawości, zaczął jej łagodnie tłomaczyć, że jej obawy nie na miejscu. Mówił, jak ojciec pragnie ją poznać, jak szczegółowo wypytywał o nią, nie stawiając najmniejszej opozycji zamiarom syna.

Mówił długo, przekonywująco, pieszczotliwie i uspokoił nieco wkońcu.

— Kochasz mnie? — szepnął używając najskuteczniejszego środka, podczas gdy płomienne jego oczy tonęły w jej oczach.

— Nad życie... — wyznała wyczerpana, bezsilna wobec tej miłości.

— Wiecie, moi państwo, — ozwała się nagle z komiczną powagą Kamilla, — że nadużyliśmy naszych praw! Wracajmy, bo dostaniemy porządną burę!

Nazajutrz nastąpiła jazda do Wasilec.

Ugrupowano się w dwóch powozach. Ku wielkiemu niezadowoleniu Natalji, jechała ona z hrabiną i Alfredem Łuckim, podczas gdy w drugim — powoziku Romana, który sam końmi kierował — zasiadła Kamilla z Janiną i Stanisławem.

Panny służące hrabiny i Natalji wraz z kuframi, wyjechały już z rana, aby panie natychmiast po przybyciu przebrać się mogły.

Pełną uroku była ta podróż dla Janiny. Jechała milcząca wprawdzie, ale milczenie to było raczej wypoczynkiem dla niej. Narzeczeni gwarzyli z sobą wesoło, szczęśliwi, a ona rozglądała się po nieznanej okolicy; od czasu do czasu, Roman zwracał się ku niej z wysokiego kozła, przemówił słówko, spojrzał serdecznie, lub uśmiechnął się zachęcająco.

Ciągle miała na myśli oklepane zdanie, używane zwykle w podobnych wypadkach: — tak jechać całe życie!... Tak! używać chwili obecnej, bo pomimo serdecznych zapewnień Romana i jego przywiązania, Janina czuła, że ciężkie chwile jeszcze ją w życiu czekają!

W połowie drogi do Wasilec, ukazała się przed niemi szeroka rzeka, którą odtąd ciągle przebywać musieli wpław lub przez mosty, takie kapryśne były jej zakręty.

Nareszcie ukazał się w dali dach pałacu w Wasilcach. Wjechano w długą, szeroką aleję, wysadzoną podwójnemi rzędami drzew bardzo starych, u stóp których ciągnęły się starannie utrzymane żywopłoty.

Okrzyk podziwu i zachwytu wydobył się z piersi Kamilli i Janiny. Rzeczywiście wjazd ten, na końcu którego, w morzu zieleni rysowały się kształty pałacu, wspaniałe i imponujące czynił wrażenie, prawdziwie magnackiej siedziby.

Widać było, że wieki składały się na upiększenie tego zakątka, w którego murach, pokolenie z pokolenia żyło i umierało, ustępując miejsca nowemu, garnąc przy sobie całe zastępy domowników, sług i czeladzi.

Kamilla, nie panująca nigdy nad chwilowem wrażeniem, w nieustannych okrzykach podziwu zachwyt swój objawiała; Natalja czuła się w obowiązku rzucić kilka słów w tym samym tonie, jedna tylko Janina milczała, przybita do ziemi wspaniałością, która przeszła o wiele jej oczekiwanie. Powiodła okiem dokoła, spojrzała na imponujący fronton budowy ozdobiony herbem, na wykwintne trawniki, i na rozrzucone po nich umiejętną dłonią ogrodnika prawdziwe gaje kwieciste, — a potem spuściła oczy na własną, granatową wełnianą sukienkę i smutny uśmiech ukazał się na jej ustach...

Tymczasem powozy się zatrzymały i Roman robił honory domy; wprowadził panie do ogromnej sali, a potem szerokiemi dębowemi schodami na górę, bo hrabina pragnęła przebrać się z drogi, zanim przywita pana Bronimirskiego. Znała ona rozkład domu z dawnych czasów, gdy tu bywała, podziękowała więc Romanowi za jego usługi i wraz z towarzyszkami swojemi udała się szerokim korytarzem do pokoi, które zajmować miały.

Wkrótce potem zgromadzili się wszyscy w wielkiej sali jadalnej na dole, gdzie pan Bronimirski, siedząc na fotelu, czekał swoich gości.

W dużej i wysokiej sali, mrok panował, z powodu grubych firanek zwieszających się z okien; pan domu rozkazał zapalić świece w starożytnym świeczniku, zwieszającym się od sufitu. Przy tem świetle, twarz jego, dość jeszcze świeża pomimo wieku i długiej białej brody, i cała postać patryarchalnie się przedstawiała. Nie mógł wstać na powitanie kuzynki, z powodu sparaliżowanej nogi, ale za pomocą korby, którą sam fotelem kierował, wyjechał ku drzwiom na spotkanie pań wchodzących.

Hrabina przedstawiła panią Natalję, córkę, a w końcu Janinę. Pan Bronimirski dla każdej słówko uprzejme znalazł i zaprosił, żeby siadano do stołu.

Janina była blada i widocznie mocno wzburzona, aż pani Żarnowiecka to zauważyła i szepnęła Natalji:

— Niech pani spojrzy na Janinę... Czy nie miałam racji mówić, że ona sama najgorzej wyjdzie na tej wizycie? Ręczę, że w głowie jej się mąci od tych wspaniałości!...

Tak! pani Żarnowiecka miała słuszność. Janinie mąciło się w głowie, gdy pomyślała, co ludzie powiedzą, dowiedziawszy się, że ona ma tu być panią... Roman mówił jej wprawdzie nieraz, że nie dba nigdy o to, co ludzie powiedzą; on mógł tak twierdzić, ale ona?...

Rozpaczliwe myśli przychodziły jej do głowy, gdy się znalazła samą, w pięknym pokoju, komnacie raczej, przybranej w staroświeckie dywany, meble i makaty. Wszystko co ją otaczało w tym pokoju, czego się dotknęła, świadczyło o niesłychanej zamożności i starożytności rodu, który od wieków rządził tym pałacem. A ona czem była wobec tego wszystkiego? co ona tutaj znaczyła, w tym domu, gdzie brano zawsze za żony bogate panny ze znakomitych rodów?... Czem się przyczynić mogła do świetności tej rodziny ona, biedna, z łaski wzięta sierota, nie posiadająca ani grosza przy duszy? Czy było uczciwie z jej strony przystawać na taki związek, prawdziwie potworny w swoim rodzaju?... Ach! głowa pęka od nawału sprzecznych myśli... i nikogo, ktoby poradził, oświecił...

Janina wstała rano, niewyspana, zgnębiona trapiącemi myślami. Wcześnie by to bardzo, więc skorzystała, że jej nikt widzieć nie będzie i zeszła cichutko do ogrodu, aby tam w ciszy poranku, pośród cudów przyrody, przyjść nieco do równowagi i znaleźć spokój tak bardzo jej potrzebny, aby się nie zdradzić. Będąc tak długo już mieszkanką wsi, przekonała się, że przechadzka po świeżem powietrzu, widok szeroki pól i łąk, najlepiej nerwy wzburzone uspakaja; ilekroć przyszła na nią chwila zwątpienia lub smutku, skutecznie tego środka używała.

Chodziła wolnym krokiem, okrywając się od słońca parasolką, nie oddalając się za nadto od domu, aby nie zbłądzić wśród labiryntu ścieżek, wielkiego ogrodu. Chodziła ze spuszczoną głową, zamyślona głęboko, nie oglądające się, nie zwracające uwagi na nic wokoło.

— Dzień dobry pani!... a... jaki ranny ptaszek! Gdybym był gospodarzem tego domu, zapytałbym pani, czy nocy źle nie spędziłaś, kiedy tak wcześnie opuściła pani swój pokój.

Janina zatrzymała się i siląc się na uprzejmy uśmiech, powitała księcia, który badawczo spojrzał na nią i zwolna głową pokiwał.

— Widzę, że się nie omyliłem... — rzekł — wygląda pani mizernie... niewyspana, smutna i zgnębiona... Roman się martwi!

Lekki odcień rumieńca ukazał się na chwilę na twarzy Janiny.

— Pan Roman musi być wyrozumiały... — szepnęła z cicha, spuszczając oczy.

(Ciąg dalszy w nast. numerze.)

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofji

W CHWILACH ZADUMY...

Dusza moja często w kraj zadumy wchodzi,
By popatrzeć w życia swojego głębiny —
I w spokoju duma, aż ktoś nie przeszkodzi,
Nie przerwie rozmyślań głębokich godziny.

Dusza moja często w przeszłość życia wraca,
I snuje powoli dawnych przeżyć wątek —
Aż rzeczywistość zwolna się zatraca,
I staje się bledsza od wspomnień, pamiątek...

Dusza moja często w przeszłość życia wchodzi,
By przejrzeć swe wady, zasługi, winy —
I po zakamarkach najskrytszych tam chodzi,
Zużywając na to niejedne godziny...

Danuta Wyrybkowska.

CHCIAŁABYM...

„Marlena." Droga Dziewczynko! Chciałabym dziś napisać Ci jak najserdeczniejszy liścik, żebyś przebaczyła mi, że tak długo Ci nie odpisywałam. Mimowoli zrobiłam Ci tem wielką przykrość, choć, doprawdy, odrazu po przeczytaniu drugiego (bo pierwszego nie otrzymałam...) liściku, poczułam do miłej „Marleny" sympatję. Tak prosto, a szczerze i szczegółowo scharakteryzowała Pani siebie, że wydaje mi się, że oddawna Panią znam i doskonale mogę sobie wyobrazić, jaka Pani jest i jak Pani wygląda. Teraz zkolei muszę — milutką „Marlenę" przedstawić mojej Rodzince. „Marlena" — to 20-letnia, średniego wzrostu szatynka o czarnych oczach, która, chociaż każdy dzień ma wypełniony sumienną pracą — tęskni jednak za bratnią duszą i chciałaby nawiązać korespondencję z jakimś sympatycznym chłopcem od 22—30 lat, szlachetnego charakteru, religijnym i trzeźwo patrzącym na świat i życie. „Marlena" informuje dalej, że usposobienie ma pogodne, lubi kino, teatr, chętnie czyta książki i przepada za muzyką. Od siebie muszę dodać, że pisze przemiłe listy, no i — jest bardzo skromna. Z każdego jej słowa przebija dobre serduszko.

Wystarczy tych kilka słów, by zachęcić Was, Mili Czytelnicy, do napisania listów do nowej naszej „siostrzyczki", prawda?

A Ty, kochana „Marleno", w nawale korespondencji nie zapomnisz o Mateczce, co? Prześlesz raz po raz liścik, a może nawet i fotografję? Całuję Cię serdecznie — i pa!

GDYBYM...

Gdybym nie kochała polskiej żyznej ziemi łan,
Tobym zaraz odleciała, hen, daleko, tam...
Lecz porzucam obcą dal, bo mi ciebie Polsko żal.
Bo mi żal orła białego, który w górze lśni,
Bo mi żal ducha polskiego, co o sławie śni.

Gdybym starych nie kochała, długich rzędów chat,
Tobym zaraz odleciała hen, w daleki świat,
Do szumiących głośno fal, tylko mi cię chato żal,
Bo ja w tobie moje życie wśród dziecinnych lat,
Wiodłam słodko, cicho, skrycie, choć tak wielki świat.

Gdybym polskiej nie kochała, pięknej piosnki ton,
Tobym zaraz poleciała, do nieznanych stron.
Lecz nie pójdę w mroczną dal, bo mi ciebie piosnko żal,
Bo z twej nuty radość tryska i wesela zdrój,
Bo w twym tonie szczęście błyska, i żal tłumi mój.

„AZA".

LIST Z NAD BRZEGU WISŁY

„Czytelnik z nad Wisły S. M. 3," to blondyn, lat 28, średniego wzrostu, o szarych, uśmiechniętych oczach i bardzo szczerem sercu, a przytem tak dużem, jak długi tęskliwy wieczór zimowy. Która z Was „miłe Córeczki" skróci te długie tęsknice interesującym liścikiem?

Kończąc odpowiedź, przesyłam w imieniu „Czytelnika z nad Wisły" serdeczne pozdrowienia „Pomorzance z nad Wisły". Może Pan prześle na moje ręce list do „Niej", a ja chętnie doręczę, jednakże adresu bezpośrednio zdradzić nie mogę, bo Czytelnicy straciliby do mnie zaufanie.

LIST „ANITEŃKI"

„Wielce Szanowna Pani Zofjo! Jestem zwyczajnym tworem — ot takim małym, szarym człowiekiem. Ale szary człowiek jest dzisiaj modny. Pisze się o nim książki, filmuje jego życie... Słowem nadeszła godzina szarego człowieka. Niechże więc i mnie wolno będzie o sobie mówić. Niech opowiem o swoich zainteresowaniach, o wszystkiem wogóle co mi się podoba i t. d. A więc do rzeczy. Najpierw przedstawiam się: Jestem stałą czytelniczką „Moich Powieści" 20-letnią brunetką o czarnych oczach, zadartym nosku, w serduszko wykrojonych usteczkach i ciemnych loczkach...

Imionko me Aniteńka. Ukończyłam Państwowe Gimnazjum Żeńskie Humanistyczne. Ponieważ nie mam nikogo, ani nawet braciszka (który się nie urodził, na co bardzo narzekam) dlatego nieraz całe godziny spędzam w samotności, a że jest trzpiot ze mnie nielada, więc trudno pogodzić mi się z strasznie nudną jednostajnością (z którą wszczynam rozwód). Nieraz przychodzi uczucie pragnienia wyściskania kogoś.... wycałowania, popsocenia... niestety — kiedy brak przedmiotu wylewu swych arcyidjotycznych uczuć... Ba! O mało co zapomniałabym wyjawić, że kocham... przyrodę, poezję, muzykę, wogóle, wszystko co dobre i piękne — a przedewszystkiem „Moje Powieści" i Panią Zosię, choć prawdziwie nie znamy się. A jakże! Nie wiem dlaczego, chyba intuicyjnie wyczuwam dobroć Pani i szlachetność Jej serca.

A teraz mam prośbę malutką do Pani Ziutki (co za poufałość). Ach! Jest jakiś „Marceli". Imię to, nie bez większego zainteresowania mojego, przeszło przez szpalty „Krainy szczerości i naszych trosk". O! Z jakimże uczuciem czytałam niegdyś wiersz „Melancholja."

Czyżby to był On?... Ach, jak pragnęłabym wieści... o Nim w kąciku naszym. — Ileż ja też piszę, a tak drogi czas zabieram. Jaka szkoda, że nie wiem jak Pani Zosia usposobiona do reakcji na moje słowa!!

Szczęście, że papier się kończy, bo inaczej zagalopowałabym się, jak widzę, stąd do Żnina... Ale to nie ja temu winna. Trzeba obwinić dzisiejszą niedzielę (posępna, mrży kapuśniaczek) to ona taka ślamazarna! Kończąc, przesyłam Łaskawej Pani Zosi, Wujkowi Januszowi i wszystkim sympatycznym czytelnikom i czytelniczkom „Moich Powieści" serdeczne pozdrowienia.

Aniteńka."

Droga „Aniteńko", proszę pisuj do mnie jak najczęściej. Imię Twoje jest prześliczne i nie wiem, czy jego urok tak na mnie podziałał, że żywię do Ciebie „Aniteńko" wielką sympatję. Chyba długo nie pozwolisz mi czekać na wiadomości od siebie?

CHĘTNIE SŁUŻĘ PRZYJACIELSKIEMI RADAMI

„Rena z Bydgoszczy". List Pani przeczytałam uważnie, pełna wzruszenia. Urosła Pani w moich oczach, na bohaterkę cichego, bezimiennego dramatu. Najpiękniejszy wiek życia, który powinien być bajką i jasnem wspomnieniem w przyszłości, strawiła Pani na borykaniu się z życiem. Widzę jednak, że zwyciężyła Pani, pokonała trudy, niepowodzenia i znalazła się u cichej przystani. W całym liście Pani przebija szlachetność myśli i wielka energja. Zapewnie to przeszłość spotęgowała te przymioty, życiowa walka i przebyte cierpienia. Przymioty te już nazawsze pozostaną przy Pani i będą w dalszem życiu puklerzem i dźwignią. Nie załamie się Pani już nigdy teraz, bo życie przeszłe to był hart.

Jeżeli Pani chodzi o przyjacielskie rady, proszę pamiętać, że daję je zawsze chętnie. Całą moją „Rodzinkę" darzę wielką miłością i sympatją. Tak doskonale czuję się w roli „mateczki", że każde uczucie smutne, ból, niepowodzenie i żal, przyjmuję zawsze głęboko, tak samo podzielam w pełni uczucia radosne. Doprawdy, nie wyobrażam sobie coby się ze mną stało, po stracie tych, wszystkich moich Kochanych Przyjaciół.

Widzę jednak, że się rozpisałam, więc kończąc odpowiedź, proszę o dalsze szczere listy i takie wylane, jak ostatni.

PRZY PIECU

Siedzę przy piecu, jak tu przyjemnie,
A za oknami wicher dmie.
Jakaś tęsknota drzemie we mnie,
Która za wichrem lecieć chce.
Puszczam! Niech leci sobie w świat.
Niechaj pohula wśród kniei i pól,
Niechaj zawita do wiejskich chat,
I niech oznajmi mej duszy ból.
I niech przyniesie mi het z oddali,
Na skrzydłach wichrów słowo radosne,
I niechaj miłość w mem sercu rozpali,
I niechaj ujrzę znów życia wiosnę.

„Wierszokleta."

ZASMUCIŁ MNIE LIST „IKI"...

„Ika." Zasmucił mnie bardzo Twój list, kochana „Iko." Prócz pocieszenia nic więcej Ci dać nie mogę, bo nie w mojej to mocy, usunąć niezgodę w rodzinie. Żal mi Ciebie bardzo, biedna „Córeczko", że jesteś narażona na przykre odnoszenie się Twej Rodziny do Ciebie, jednakże sama pozostań dobrą. Staraj się bez szemrania spełniać swoje obowiązki, odnoś się do domowników grzecznie i z wielką wyrozumiałością. Chociaż to będzie Cię dużo zaparcia kosztowało — wytrwaj. Cierpiąc zresztą szlachetnie, zyskasz wiele.

A teraz apeluję do Sympatyków „Krainy", by zechcieli napisać miłe listy do „Iki" i w ten sposób wnieśli trochę radości w Jej smutne życie.

Równocześnie podaję Ci Droga „Iko" kilka informacji w sprawie ogłoszenia. Otóż dajemy już krótkie anonsy, począwszy od 50 gr. Skutek jest zawsze dobry. Po przesłaniu więc należności, damy zaraz ogłoszenie i w ten sposób nastąpi zmiana na lepsze w Twem życiu, „Iko".

NAJWIĘCEJ WSPÓŁCZUJĘ SIEROCEJ DOLI

„Maryla". „Córeczki" moje, które nie posiadają już własnej matki, kocham w dwójnasób i otaczam czulszą opieką, bo wiem, że najbiedniejsze istoty, to dzieci, które nie zaznały nigdy ciepła macierzyńskiego. Są one, jak roślinki, których nie ogrzewają nigdy promienie prawdziwego słońca, tylko rosną hodowane sztucznemi zabiegami. Dlatego też przyjmuję Cię życzliwie biedna, moja „Marylu" do naszej „Rodzinki" i dziękując za „dziecięce uściski", zamieszczam wyjątek z Twego listu:

„Jestem córką emerytowanego, wyższego urzędnika państwowego. Mam lat 22. Jestem niebrzydką blondynką, miłą i wesołą. Z braku odpowiednich znajomości, pragnęłabym drogą korespondencyjną, poznać inteligentnego i poważnie myślącego pana."

TY NIE MÓW NIC...

Gdy drzewa się przystroją w liście,
Kiedy się niebo rozpromieni,
Słońce zaleje świat rzęsiście,
Radośniej będzie nam na ziemi,
Ty nie mów nic...
Bo naco zda się wtedy słowo,
Gdy duszę dziwny czar omota?
Poco ma budzić się na nowo,
Uśpiona dawno już tęsknota?
Więc nie mów nic...
A gdy zakwitną wokół drzewa,
I poznasz czar wiosennej nocy,
Gdy dla nas będzie słowik śpiewał,
Patrz wtedy długo w moje oczy,
I nie mów nic...

Jadźka z Kujaw.

PIĘKNY PSEUDONIM

„Krysia Leśniczanka". W dzisiejszym numerze „Krainy" mamy piękne pseudonimy. Najpierw „Aniteńka", a teraz znowu „Krysia Leśniczanka." Odrazu stanęła w mej wyobraźni ta druga Krysia — z opery. Czy zna Pani operetkę „Krysia Leśniczanka"? Zapewnie tak, bo skądby ten znajomy pseudonim.

Do „Krainy" przyjmuję oczywiście Panią i sądzę, że jakiś mieszkaniec lasu nawiąże z Panią korespondencję i w listach swych dużo będzie pisał o lesie i jego urokach.

SAMOTNIK...

„Dzik“. Szanowny Panie! Do naszego grona przyjmuję Pana z prawdziwą radością. Życzenie jedno spełnione, a teraz drugie: „Dzik“, młody blondyn, średniego wzrostu, zamieszkuje samotnie bory w powiecie chojnickim, nad dużem jeziorem. Czytelniczka, która skreśli list do „Dzika“ otrzyma odpowiedź odwrotną pocztą.

ŻEGNAJ... I PISZ!

„Assa—liuszka“. Liścik Pani taki długi i kochany schowam do najdroższych pamiątek. Rozumiem smutną duszę Pani. Nastrojowe słowa listu oraz wybitnie oryginalne upodobania wpłynęły na ustosunkowanie moje do Pani w ten sposób, że jestem gotowa do Pani napisać osobiście, oczywiście po otrzymaniu adresu. Żegnaj więc tymczasem Dobra, Słodka Dziewczyno i pisz!

NIE ZAPOMNIAŁAM O PANI!

„Wierna Czytelniczka“. Z powodu ogromnej ilości listów, odpowiedź dla Pani była trochę spóźnioną, ale nie zapomniałam o Pani, a tem-więcej nie żywię żadnych uraz. Odpowiedź dla „Cz. O.“ nie zamieszczam, bo uważam, że dalsza polemika nie ma sensu. Załączam również w imieniu Pani pozdrowienia dla „Mozajki“ i apeluję, by napisał list do „Wiernej Czytelniczki“ i przesłał na moje ręce, zwłaszcza jeżeli mu chodzi o rzeczową i wartościową korespondencję. Wkońcu pozdrawiam Panią i proszę o dalszą pamięć.

CÓŻ MAM ZROBIĆ!...

„Pacol“. List Pana przeczytałam z wybuchami śmiechu. Ma Pan naprawdę nieprzeciętny humor. Jak z rogu obfitości, co zdanie sypały się humorystyczne projekty i pomysły. Cóż mam zrobić?... Muszę cierpliwie odpowiedzieć na każdy pomysł i projekt, bo doprawdy jestem całkowicie rozbrojona i ubawiona dowcipem.

A więc: Bal naszej „Rodzinki“, prawdopodobnie odbędzie się w jakimś karnawale, za parę lat. Oczywiście będziemy wszyscy w komplecie, jednak myślę, że obędzie się bez „tragikomedyj“. Projekt noszenia odznaków, przez członków naszej „Rodzinki“ przekreślam. O tem może zadecydować ogół. Ręczę zresztą Panu, że poznamy się po pogodnych twarzach. Nasze liczne grono u drzwi „Krainy“, zostawia chmury, czoła i kroczy przez życie dalej z jasną twarzą. Naszym godłem Drogi „Pacolu“, niech będzie miły, pogodny uśmiech. Jak się Panu podoba z kolei mój projekt?

ODWAŻNIE NAPRZÓD IDŹ!

„Gazella.“ Z całego Twego listu przebija smutek i pesymizm. Zdaje się, że jesteś bardzo młoda? Jedyne lekarstwo na Twoje przygnębienie to silna wola. Każdy człowiek, po wyrośnięciu z lat dziecięcych i wejściu w życie doznaje dużo rozczarowań i zawodów. Wszystkie marzenia i beztroskie zapatrywania, zostają stopniowo przekreślane. Na miejsce ich przychodzi naga rzeczywistość. I wtedy właśnie trzeba silnej woli, by się nie załamać, by śmiało spojrzeć nowemu życiu w twarz. Istoty słabe, cierpią. Opuszczają bezsilnie ręce i trawią godziny na bezowocnych żalach. Tak nie trzeba! Kochana Gazello! Jeżeli jesteś jedną z tych słabych, walcz dzielnie, na trzeźwo, z wiarą w przyszłość. Każde zło mija na świecie i każdy człowiek dobry i szlachetny prócz cierpień, zdobywa piękne i niezatarte chwile, które mu są podporą i dźwignią w dniach smutku. Na dowód mych słów cytuję Ci piękne słowa Aliny Kwiecińskiej:

Unikaj zawsze łez, narzekania,
Wesołym, dzielnym bądź!
Odwaga wzmocni, doda wytrwania
Byś mógł się wyżej piąć!

Nie wierz tym, którzy w zła zaślepieniu,
Mówią, że trudno żyć —
Wpatrzony w blaski słońca promieni,
Odważnie naprzód idź!

Baw się radośnie, pracuj ochoczo,
I prostych szukaj dróg!
Wtedy cię szczęścia błyski otoczą,
Nie zaznasz żadnych trwóg.

Jak Ci się podobają te pełne wiary słowa poetki? Chyba mi o nich coś napiszesz „Smutna Gazello“?

WYSŁANE!

„Marudziarz.“ List do „Syreny“ wysłałam natychmiast. Za szczere życzenia dziękuję Panu z całego serca.

ADRESY... I JESZCZE RAZ ADRESY!...

O adresy, celem odebrania listów nadeszłych do Redakcji są proszone następujące osoby: „Muszka“ — „Klg.“ — „Paź“ — „Mazurka hoża“ — „Wesoła Andziulka“ — „Nieznajoma L.“ — „Ola z wesołej dwójki“ — „Czesława“ — „Ślązaczek“ — „Syrena“ — „Wesoły Ptaszek“ — „Królowa z bajki“ — „Łza“ — „Orlątko“ — „Dzika Cyganka“ — „Szachraj z Pomorza“ — „Em-Er“ — „Brzydki“ — „Maleńka Dżeni“ — „Perełka z okolicy Borów Tucholskich“ — „Kawaler“ — „Brzydka Kaszubka“ — „Myszka z Kujaw“ — „Chłopka z pod Cieszyna“ — „Szczera Ślązaczka“ — „Miła Szatyneczka“ — „Bohaterka“ — „Lawenda“ — „Romantyczka“ — „Serwida“ — oraz dokładny adres: „Żywe Srebro“ i „Smutny Urwis.“

TAK BARDZO PRAGNĘŁABYM...

„Sztubaczka“ pisze: „Tak bardzo pragnęłabym w „Krainie“ znaleźć osobę, z którą mogłabym mile pogwarzyć i podzielić się wszystkiemi niespodziankami losu. Jestem 18-letnią szatynką o szaro-niebieskich oczkach i zmysłowych ustach, jednem słowem dziewoją z temperamentem. Lubię przyrodę, śpiew, muzykę, sport i marzyć, co jest wogóle najgorszą manją. Mimo młodego wieku, przeżyłam dużo chwil ciemnych, więc umię się wczuć w położenie innych. 3 miesiące temu pochowałam mego brata—porucznika, jednakże, pomimo okrutnego ciosu nie tracę nadziei, gdyż każdy człowiek, więcej żyje jutrem, a przeszłość w coraz bledszych i łagodniejszych kolorach widzi. A więc czekam mili „Sympatycy“ obiecując na każdy list dać odpowiedź.“

Kochana Dziewczynko! Wielkie zadowolenie sprawiłby mi fakt, że Ci dobrze wśród nas, no i oczywiście niemniejsze zapowiedziana fotografja.

Teczka Wujka Janusza

NIE WIOSNĄ, TYLKO W ZIMIE JESZCZE

„Samotna Polna Stokrotka.“ Nie mogę uwierzyć, by „stokrotka“ naprawdę zasnęła pod śniegiem i dopiero zbudziła się wiosną... To niemożliwe!

Bardzo mi przykro, że miała Pani maleńkie przykrości z dostarczaniem egzemplarzy, myślę jednak, że teraz już wszystko w porządku. „Jadźka z Kujaw“ przysłała nam nową serję wierszyków. Sądzę, że Pani zadowolona, bo w ostatnich numerach już się ukazały. „Sercem do Was...“ przekaże Pani administracja.

Nakoniec dziękuję dobrej „Stokrotce“ za rymowany liścik. Czekam na nowy, ale nie wiosną, tylko zimą — oczywiście!!!

REZULTATEM BĘDZIE UDOSKONALENIE

„Czarna Gwiazda“. Droga Pani! Wszystkie wierszyki posiadają głębokie i szlachetne myśli, jednakże strona techniczna pozostawia dużo do życzenia. Długo musi Pani pracować nad sobą, zanim napisze dobry wiersz. Przedewszystkiem radzę Pani czytać dużo poezji, potem pisać i drzeć. Rezultatem tego, będzie udoskonalenie. Wtedy napewno pełen entuzjazmu, zamieszczę w mojej „Teczce“ wierszyki Pani. A dzisiaj, chcąc Pani zrobić przyjemność i zachęcić do dalszej pracy, oddaję do druku, po pewnych poprawkach wierszyk Pani „Nie żądaj za dużo.“

NIE ŻĄDAJ ZA DUŻO

Nie żądaj za dużo od łaski losu,
I nie opuszczaj rąk od jego ciosu,
Bo dróg jest wiele i świat tak duży,
Idź! zdala od błota, mętnej kałuży.
Nie rządaj za dużo, bo gdzie światło tam cień,
Lecz i po nocy ciemnej lśni zawsze dzień!
Czy sam wartości tyle masz,
I tyle miłości swej dasz,
Ile sam żądasz?...
Czy więcej świata dałeś róż,
Czy nie zwołałeś przykrych burz,
Przez zazdrość i egoizm?...
Bądź zadowolonym, a jasny będzie twój dzień,
Miłości dużo daj — rozpraszaj cień!...

„Czarna Gwiazda.“

DZIĘKUJĘ!

P. Michał Ch. Z wierszy nadesłanych umieszczam „Do Was“. Za życzenia świąteczne serdecznie dziękuję i starym zwyczajem, ściskam dłoń memu Przyjacielowi, choć tak dalekiemu.

DO WAS

Sierotom — poświęcam.

Do Was dziś mówię — Drogie Sieroty,
Co ze łzą w oku smutne chodzicie,
Z sercem zbolałem, pełnem tęsknoty,
Patrząc na zgliszcza zadane przez życie.
Do Was strapionych, smętnych na duszy,
Do Was coście rozpaczą targane —
Stratą drogiego ojca, matusi,
Co już odeszli w światy nieznane.
Sieroty, Wyście o takie biedne,
Nie wątpcie jednak, choć w oku łza —
I chociaż wzgardzą Wami niejedni,
Nie płaczcie — choć bólem dusza Wam łka.
O lepiej serca wznieście do Boga,
On Wam miłością uleczy rany,
I wskaże, gdzie szczęścia jest jasna droga,
Radością stłumi ból życiem zadany.

Michał Choszcz.

CZY PANI ZADOWOLONA?

B. Braunówna. Wierszyk poprawiony oddałem do druku. Czy Pani zadowolona? Proszę, niech Pani ogromnie zważa na rytm. To chroniczny błąd wszystkich początkujących poetów mojej „Teczki“. Bodaj na palcach liczyć sobie sylaby, niż przysyłać chaotyczne zbiory zdań. Przykro mi naprawdę rzucać do kosza, z takim mozołem nadzieją i radosnem wzruszeniem tworzone wierszyki mych Sympatyków, a umieszczać ich przecież niepodobno.

Serdecznie Panią pozdrawiam i proszę o dalszą pamięć.

ZIMA

Taśma niepogód jesiennych się przerwała,
Z mrocznicy tajnej zima swe oblicze pokazała,
Bór olbrzymi wieńczony białemi korony,
Blaskiem zorzy promiennej, wyczarowany.
Uplot ośnieżonych drzew...
Gałęzi nie porusza żaden wiew...
Tu i owdzie ćwierkanie zimorodka powietrze przeszywa,
Śnieżyca ziemię powoli białym kobiercem okrywa.
Przechodzień łzę roni, mrozem wywołaną,
Oddech szybki pierś podnosi i twarz rumianą...
Na runi biel srebrzona,
Kroków odgłos w miękkim puchu kona.
W oprawie okien labirynt kwiatów brylantowych,
Ręką mistrza misternie rzeźbionych.
Na rzece forteczny utworzył się most,
Krzyżują się łyżwy, błyszczy stal, wesołych głosów słychać chór.
Rozbawiona dziatwa do rozrywek raźnie spieszy,
Mkną sanki, śnieżki, śmiech, gwar, mknie lud pieszy.
Otulona w gronostaje, zima się zjawiła,
Cierpliwie czeka flora wiosny, by ją ze snu zbudziła.

B. Braunówna.

ZAWALIDROGA MA GŁOS

Święta, święta i po świętach! Nie mogie powiedzieć, żeby znowuż użył tak bardzo, ale owszem zagazowany chodziłem krugom bez przytomności.

W drugie święto wyciągnął mnie szwagier na przedstawienie niejakiego Blakiermana do cyrku. To jest taki dziki beduin z karakułowem łbem jak szafa. Najwięcej podobał mnie się ten własnie łeb. Wygodnie by było mieć takie karakuły na głowie, naprzykład przy zlataniu ze schodów, człowiek mógłby się odbijać o stopnie jak piłka.

Albo naprzykład jest jakieś nieporozumienie w towarzystwie i leją nas w ciemie kszesłamy, albo maszynka do siekania mięsa.

Te owi panowie co nas grzeją, myślą, że my już nie żyjemy, a my mamy śmichu do wielki cholery, bo nie odczuwamy żadnego cielesnego cierpienia.

I za chwileczkie łapiemy wazonik czyli też jakąś figurkie i kształciem facetów raz koło razu, aż ich pogotowie z pod naszej ręki zabiera. To jedne co się mnie u tego Blakiermana spodobało, bo sztuki, które odstawia nie ważne.

Raj kobiet

Co najlepiej chroni przed zaziębieniem?

Nie każdy zdaje sobie z tego sprawę, że okres zimowy ma swe odzwierciedlenie w ogólnym stanie zdrowotnym człowieka. Organizm ludzki aż do przesilenia grudniowego czuje się najgorzej, dopiero z minięciem przesilenia ponownie się regeneruje i rozwija. Z drugiej strony jednak, o ile zima jest mroźna, powietrze oczyszcza się z kurzu, zamierają bakterje i zarazki, ilość chorób zakaźnych spada do minimum.

Natomiast powietrze późnej jesieni, wilgoć i zimne deszcze, są znacznie więcej szkodliwe dla zdrowia, niż mrozy i suchy wiatr. Jak stwierdza statystyka lekarska, największa ilość zachorowań i przeziębień datuje się właśnie w takim wilgotnym okresie późnej jesieni, jaki obecnie przechodzimy.

Wiedzieć także trzeba, że gdy nadejdzie zima, dużo ludzi grzeszy pod względem zimowego odzienia. Szczególniej zaś nierozsądnie czynią nasze panie, które ubierają się bardzo ciężko, a tylko na wierzch kładą ciepłe, nieraz bardzo kosztowne futra. Wskutek lekkiego i przewiewnego stroju damskiego, a szczególnie wskutek jedwabnych przejrzystych pończoch, duży procent pań choruje zwykle na różne dolegliwości, związane z przeziębieniem się.

Ponieważ suche powietrze zimowe sprzyja rozwojowi ciała i zdrowia, to też zaleca się przebywać dużo na wolnem powietrzu i uprawiać jak najwięcej sportów zimowych. Najzdrowsze jednak jest powietrze zimowe w górach, gdzie dobre warunki śnieżne pozwalają na rozwój sportów zimowych, na saneczkowanie i narciarstwo.

Czy należy używać korzeni?

Dla nadania smaku potrawom używa się w przyrządzaniu ich różnych korzeni. Stosowane w małej ilości podniecają w niektórych wypadkach strawność.

Do najbardziej rozpowszechnionych korzeni należy pieprz (biały i czarny) potem pieprz hiszpański (papryka), pieprz japoński (ciment), musztarda, cynamon, gałka muszkatałowa i kwiat muszkatałowy, goździk, anyż, kapar włoski, kminek, imbier, szafran, wanilja, liście bobkowe itd.

Doświadczenia wykazały, że używanie korzeni jest dla odżywiania raczej ujemnem niż korzystnem. Powodują zwykle nadmierne pragnienie, a używanie ich w większej ilości np. zbyt pieprznych potraw prowadzi do licznych zaburzeń na tle żołądkowym, sprowadza cierpienie kiszek i wątroby.

Dzięki ostrym własnościom podniecającym korzenie są zwykle nadmiernie stosowane w kuchniach restauracyjnych, powodując pragnienie, zmuszając do picia napojów wyskokowych.

Naturalnie, że powinny być zupełnie zabronione dzieciom, które często domagają się różnych ostrych potraw. Sprowadzają one zaburzenia żołądka, często wypryski skórne.

Korzenie ulegają wszelkim możliwym zafałszowaniom, dlatego też należy unikać kupowania towarów sproszkowanych jak pieprz, cynamon itd.

Smak potraw przyprawia również cukier, jakoteż sól kuchenna, która stanowi bezsprzecznie najniezbędniejszy środek przyprawy.

DOBRA GOSPODYNI

Dobre i tanie pierniczki — całuski

5 szklanek mąki, szklanka miodu, szkl. cukru, 3 całe jajka, 30 goździków, 2 łyżeczki od herbaty cynamonu, łyżeczka sodki oczyszczonej. Dobrze wygnieść, ciasto rozwałkować niezbyt cienko i wykrawać foremkami, lub z ich braku szklaneczką lub kieliszkiem. Piec w średniogorącym piecu. Na pierniczek można położyć słodki migdał lub orzech, można je też polukrować masą czekoladową.

Daga.

Sałatka ze szynki

Pół ft. szynki, 1 duży kwaśny ogórek, 3 na twardo ugotowane białka miele się na młynku, 3 twarde żółtka, 30 dkg. krymskiej musztardy, pół ft. masła, pół ft. bryndzy uciera się dobrze i miesza wszystko razem i smaruje na chleb.

Pasta do kanapek

2 twarde jaja, 10 dkg. szynki, 10 dkg. kiełbasy, 10 dkg. bryndzy lub ostrego sera, śledzia pocz?owego, zemleć i zmieszać z 10 dkg. masła poprzednio roztartego z łyżką oliwy, musztardy i kaparów.

Naprzykład kładzie się łebiega na tłuczonych butelkach po wódce. No i co to jest? sztuka? Cholere w bok!

Komu chcesz, za karakuł szarpany owieczko, jemponować? Zawalidrodze? A potrafił byś wypić litr sznapsa z butelki z obtrąconą szyjką, ani kropli nie zostawić i mordy nie pokaleczyć? Nie pobrafisz, frajerze! A mnie tylko daj! Zaraz ci pokaże, jak się to odstawia.

Takżesamo z tem zakopywaniem w ziemię...

Na pięć minut łachudra się zakopuje w piasek i ważniaka odstawia, za żywego nieboszczyka się podaje. A ja w cykorji przed żoną pół dnia w otomanie przeleżałem, bez kieliszka wódki i bez powietrza i sie nie chwale i w cyrku nie przedstawiam.

Albo też znowuż z tem usypianiem koguła, tyż granda mocna. Patrzy na ptaka pół godziny, a ten nie rozumie o co mu się rozchodzi i z nudów zaczyna kimać. Każden na miejscu koguta zrobił by to samo.

Zresztą kogut — drób jenteligientny i da się tresować, ale ty mnie pluskwe sztuk naucz, to będziesz u mnie cwaniak.

A ja mam takie pluskwe.

Jak się światło w pokoju pali, ona siedzi za portretem żony, i rozespane udaje, ale sprobować tylko lampkie zgasić, odrazu sie cholera budzi i skacze prosto na łóżko.

To sie nazywa tresura.

To tyż zgniewał mnie ten Blakierman wkońcu, zeszliśmy ze szwagrem z galerji i chcieliśmy we dwóch pare sztuk pokazać na arenie. Ale nas bez policje z cyrku wylali na zbity łeb.

I dlaczego, pytam się? Dlaczego Blakierman ma mieć większe uważanie od Zawalidrogi? Wstyd! Hańba! Precz!

ŚWIAT I ŻYCIE.

Dziewczęta „Mochi-Mochi"

nigdy się nie mylą

Wystarczy będąc w którémkolwiek mieście japońskiem podnieść słuchawkę telefoniczną, by usłyszeć melodyjny pełen słodyczy głos kobiecy, mówiący tajemnicze wyrazy:

— Mochi-Mochi...

„Mochi-Mochi" znaczy po japońsku tyle, co nasze „Hallo" i tym sygnałem dają znać o swej obecności telefonistki japońskie, gdyż tam nie dotarła jeszcze mechanizacja aparatów telefonicznych.

Telefonistki japońskie „dziewczęta mochi-mochi", jak je tam powszechnie nazywają, to najcierpliwsze, najuważniejsze i najdokładniejsze istoty pod słońcem.

Telefonistki japońskie nigdy mylnie nie połączą.

Nigdy się nie rozgniewają. Nigdy nie zniecierpliwią.

Toteż, są one w Japonji ogromnie popularne i bardzo szanowane.

Zgodnie z tamtejszym zwyczajem telefonistki muszą mieszkać w gmachu telefonów, który jest rodzajem klasztoru dla nich. Chodzą wszystkie jednakowo ubrane w coś pośredniego pomiędzy kimonem a strojem kobiet europejskich.

Jadają razem, sypiają w wspólnych sypialniach.

Ich nieomylność wypływa stąd, że każda z nich zanim wstąpi na służbę jest w ciągu kilku lat szkolona w wielkiej dyscyplinie. Z chwilą, kiedy dano jej pod opiekę aparaty, nie wolno jej się omylić.

Jedna omyłka wystarcza do natychmiastowego zwolnienia bez odszkodowania.

Toteż nigdy nie zdarza się tam skarga abonenta na telefonistkę! Nikt tej skardze by nie uwierzył: wiadomo, że omyłki muszą pochodzić od publiczności, nigdy od japońskiej telefonistki, która jest poprostu nieomylna.

Dziewczyna „mochi-mochi" musi być niezamężna. Z chwilą gdy wychodzi zamąż, temsamem traci posadę.

Co słychać w polityce?

CO SIĘ DZIEJE W NIEMCZECH?

Polityka zagraniczna Niemiec nie zbacza z utartej drogi zyskiwania sobie **Anglji**, która tę rolę chętnie na siebie względów francuskich za pośrednictwem włoży. Ponadto Niemcy chwycili się innego środka, aby osłabić w społeczeństwie francuskiem wrogi i odporny nastrój wobec niemieckich prób zbliżenia. Konstytuują mianowicie bezpośrednie rozmowy b. kombatantów. Znowu w ostatnim tygodniu przedstawiciel innej grupy kombatantów francuskich nie tej, do której należał dep. Goy, mianowicie prezes Unji Federalnej Kombatantów, płk. Pichot, był przyjęty w Berlinie przez Hitlera i min. Hessa. Oczywiście znaczenie tych rozmów, rozpoczętych już w 2 sierpnia ub. r., prowadzonych dalej w listopadzie przez dep. Goya i Monniera, jest raczej natury moralno-psychologicznej, niż politycznej, ma bowiem na celu przygotowanie odpowiedniej, życzliwej dla Niemców atmosfery w Saarze.

Mimo bowiem tych wzajemnych dygów i uprzejmości, z dnia na dzień dowiadujemy się o nowych zbrojeniach niemieckich, o przemianie fabryk wytwarzających kije do mioteł na wytwórnie kolb karabinowych, o nowych podziemnych lotniskach, o wybuchach wreszcie nowych trujących gazów, podobnych do tych, które kilka lat temu spowodowały śmierć wielu obywateli belgijskich. Z drugiej znów strony p. Schacht, prezes Banku Rzeszy i kierownik jej gospodarki, zapowiada ustanie zbrojeń spowodu braku surowców. To pewne, że wskutek braku dewiz i złota Niemcy mają coraz mniej surowców i że zaznaczają się poważne konflikty między przemysłem a rządem, czego dowodem ustąpienia ze stanowisk urzędowych takich przedstawicieli przemysłu, jak Krupp, Siemens, Thyssen. Nie mogli oni zgodzić się ze zmienną, a zawsze egocentrycznie nastawioną polityką gospodarczą Schachta.

Inne jeszcze konflikty nurtują organizm Rzeszy. Niedawno na wielkiej mowie w Sportpalaście Goebbels przeszedł nad niemi do porządku dziennego, w ostatnich dniach jednak min. Goering w wywiadzie udzielonym przedstawicielowi agencji Reutera, niedwuznacznie przyznał, że dokonano „czystki" wśród szeregów partyjnych, a wreszcie min. Reichswehry, gen. Blomberg wypowiedział się bardzo stanowczo przeciw szturmowcom, „czarnej armji" i oświadczył, że od 30 czerwca „zabawa w wojsko" ustała. Trudno dziś przewidzieć, jakie czynniki, partyjne, czy reprezentujące Reichswehrę i junkrów, ostatecznie wezmą górę. Widać jednak wyraźnie zwrot na prawo haseł narodowo-socjalistycznych.

W HISZPANJI

W Hiszpanji pracuje się mocno i zdecydowanie, aby zatrzeć okropne ślady wypadków w Asturji. Wskutek denuncjacji aresztowano niedawno w ubogiej górskiej wiosce dep. socjalistycznego, nazwiskiem Gonzales Pena, który był przywódcą krwawego rokoszu. Powszechnie sądzono, że uciekł zagranicę, tembardziej, że zabrał ze sobą 14 milj. z kasy oddziału Banku Państwa z Oviedo. Nie ulega dziś wątpliwości, jaka go spotka kara. Rzecz jednak w tem, że „uspokojenie" Asturji to tylko dalszy krok zwiększających się wpływów prawicowych, przedewszystkiem partji Gil Roblesa. Wydaje się, jakoby rewolucja i często od roku 1931 przewroty wogóle nie pozostawiły śladu. Należy jednak sądzić, że to nie koniec! **Hiszpanja nie wypowiedziała jeszcze ostatniego słowa.**

Najciekawsze audycje Polskiego Radja w Warszawie

od dnia 13. I. do 19. I. 1935 r.

Niedziela, dnia 13 stycznia 1935 r.

9.00 Sygnał czasu i pieśń 10.05 Transmisja Nabożeństwa z Poznania 12.05 Przegląd teatralny 12.15 Poranek muzyczny. W przerwie około godz. 13.00—15.15 odczyt 14.00 Muzyka lekka 15.00 „Zew ziemi" — feljeton wiejski 15.15 Piosenki kaszubskie 15.25 Przegląd rynków produktów rolnych 15.35 Sousa: Wiązanka marszowa 15.45 Pogadanka rolnicza 16.00 „Rywale" — fragment 16.20 Recital Adeliny Czapskiej 16.45 „Zyciorys Lisa-Kuli" — pogadanka 17.00 Muzyka do tańca 17.50 „Ruch regjonalistyczny w Europie" — (Odczyt) 18.00 „Teatr Wyobraźni" 18.45 „Odczyt 19.00 Muzyka lekka 19.50 Feljeton aktualny 20.00 Koncert wieczorny 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 „Jak pracujemy w Polsce" 21.00 „Na wesołej lwowskiej fali" 21.30 Wiadomości sportowe 21.45 „Skrzynka pocztowa techniczna" 22.00 Koncert reklamowy 22.15 Obrazek słuchowiskowy 22.35 Muzyka taneczna.

Poniedziałek, dnia 14 stycznia 1935 r.

6.45 Audycja poranna 12.10 Koncert 13.00 Dziennik południowy 13.05 Muzyka salonowa 15.45 Muzyka salonowa oraz piosenki w wyk. Jeanetta Mac Donald 16.45 Lekcja języka niemieckiego 17.00 Transmisja reportażu z Gmachu Poczty Głównej w Warszawie 17.25 „Skrzynka pocztowa" 17.35 Pieśń w wyk. Zofji Temnickiej 17.50 „Czas w życiu i życie w czasie" — odczyt. 18.00 „Skrzynka pocztowa rolnicza" 18.10 Przegląd filmowy 18.15 Recital fortepianowy 18.45 „Babska ciekawość" obrazek dla dzieci starszych 19.00 Audycja strzelecka 19.25 Chwilka społeczna 19.30 „Walka o sztukę polską" — feljeton 19.50 Wiadomości sportowe 20.00 Muzyka lekka 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 „Jak pracujemy w Polsce" 21.00 Koncert 21.45 „Ciemne głębie oceanów" (Odczyt) 22.00 Koncert reklamowy 22.15 Muzyka taneczna.

Wtorek, dnia 15 stycznia 1935 r.

6.45 Audycja poranna 12.10 Koncert 12.45 „Jak pitrasiliśmy jajecznicę" — opow. dla dzieci młodszych 13.00 Dziennik południowy 13.05 Dalszy ciąg koncertu 15.45 Godzina rezerwisty. Marsze wojska polskiego 16.45 „Skrzynka pocztowa P. K. O." 17.25 „Dola i niedola nauczyciela wiejskiego" — odczyt 17.35 Recital śpiewaczy, 17.50 „Skrzynka pocztowa techniczna" 18.00 „Wiadomości rolnicze" 18.15 Koncert kameralny 18.45 „Widzenia bliskie i dalekie" — szkic literacki, wygłosi p. Zofja Nałkowska 19.00 Muzyka lekka 19.20 Pogadanka aktualna 19.30 D. c. Muzyki lekkiej 19.50 Wiadomości sportowe 20.00 Drobiazgi instrumentalne (płyty) 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 „Jak pracujemy w Polsce" 21.00 Pastorałka — misterjum ludowe 22.30 Koncert reklamowy 22.45 „Rasizm w świetle badań naukowych" odczyt w języku angielskim 23.05 Muzyka taneczna.

Środa, dnia 16 stycznia 1935 r.

6.45 Audycja poranna 12.10 Koncert 13.00 Dziennik południowy 13.05 Arje operowe 16.00 Znowu „Bandyci" w radjo z Fryderykiem Jarossym na czele 16.45 Program dla dzieci starszych: „Chwilka pytań" 17.00 Arje operetkowe (płyty) 17.25 „Lekceważenie pracy domowej" pogadanka 17.35 Recital śpiewaczy 17.50 Poradnik sportowy 18.00 Skrzynka pocztowa rolnicza 18.15 J. Brahms: Trio fortepianowe 18.45 Odczyt gospodarczy 19.00 „W krainie kołysanek" — płyty 19.20 Pogadanka aktualna 19.30 Utwory na ksylofon (płyty) 19.50 Wiadomości sportowe 20.00 Wieczór romansów cygańskich 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 „Jak pracujemy w Polsce" 21.00 Koncert Chopinowski 21.30 „Uniwersytet Jagielońskim w Krakowie" Odczyt w języku angielskim 21.40 Recital skrzypcowy Ireny Dubiskiej 22.00 Koncert reklamowy 22.15 Muzyka taneczna.

Czwartek, dnia 17 stycznia 1935 r.

6.45 Audycja poranna 12.10 „Nad Styrem i Horyniem" pogadanka dla dzieci o Wołyniu 12.30 XI-ty Poranek Szkolny z Filharmonji Warszawskiej 13.00 Dziennik południowy 13.05 Z rynku pracy 13.10 Dalszy ciąg Poranku Szkolnego z Filharm. Warsz. 15.35 Przegląd giełdowy 15.45 Koncert. 16.45 Lekcja języka francuskiego 17.00 Teatr wyobraźni 18.00 Skrzynka pocztowa 18.10 „Moje uwagi o żywieniu krów zimą" — odczyt 18.25 Chór Dana 18.45 „Co czytać" 19.00 Recital fortepianowy 19.20 Feljeton aktualny 19.30 Piosenki 19.50 Wiadomości sportowe 20.00 Koncert symfoniczny 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 „Jak pracujemy w Polsce" 21.00 Dalszy ciąg koncertu odczyt 21.45 „Skutki walki z religją" 22.00 Koncert reklamowy 22.15 Muzyka taneczna 22.45 Rozmowy z angielskiemi słuchaczami P. R. 23.05 Dalszy ciąg muzyki tanecznej

Piątek, dnia 18 stycznia 1935 r.

6.45 Audycja poranna 12.10 Koncert 12.45 „Emigrantki" — odczyt 13.00 Dziennik południowy 13.05 Dalszy ciąg koncertu 15.35 Przegląd giełdowy 15.45 „Godzina wspomnień" 16.45 Audycja dla chorych 17.15 Recital skrzypcowy 17.50 „Przegląd wydawnictw" 18.00 „Wiadomości rolnicze" 18.15 W. A. Mozart: Kwartet smyczkowy 18.45 „Łowy dawniej i dziś" — odczyt 19.00 Recital śpiewaczy 19.20 Pogadanka aktualna 19.30 Wesołe piosenki 19.50 Wiadomości sportowe 20.00 „Jak spędzić święto"? 20.05 Pogadankę muzyczną wygłosi prof. Roman Chojnacki 20.15 Koncert symfoniczny W przerwie Dziennik wieczorny oraz „Jak pracujemy w Polsce" 22.30 Recytacje poezyj 22.40 Koncert reklamowy 23.05 Muzyka taneczna.

Sobota, dnia 19 stycznia 1935 r.

6.45 Audycja poranna 12.10 Koncert 13.00 Dziennik południowy 13.05 „Stare walce" 15.35 Przegląd giełdowy 15.45 Najnowsze nagrania na płytach 16.30 Teatr Wyobraźni 17.00 Koncert 17.50 „Rośliny pokojowe w zimie" — odczyt 18.00 Przegląd prasy rolniczej krajowej i zagranicznej 18.15 Recital skrzypcowy 18.45 „Jak powstaje piękna książka". Reportaż. 19.00 Polskie pieśni ludowe 19.20 „Suwałki" — odczyt 19.30 Piosenki 19.50 Wiadomości sportowe 20.00 Muzyczna mozaika karnawałowa 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 „Jak pracujemy w Polsce" 21.00 St. Moniuszko: Sonety krymskie 21.45 „Prus w nowem oświetleniu" — szkic literacki 22.00 Koncert reklamowy 22.15 Muzyka taneczna (płyty) 24.00 Muzyka taneczna.

CHWILA ZASTANOWIENIA

M A G I C Z N Y   K W A D R A T

ułożył „Velga" z Głowna

Objaśnienie: Litery poprzestawiać tak, by powstały słowa, dające się odczytać w kierunku poziomym oraz pionowym jednakowo.

	1	2	3	4	5
1	A	A	A	A	A
2	A	C	C	I	K
3	K	Ł	Ł	N	N
4	O	O	O	P	P
5	R	S	S	T	W

Znaczenie wyrazów:

1. Zaprawa mularska
2. Materjał jedwabny
3. Miasto polskie
4. Imię żeńskie (zdrob.)
5. Imię męskie niemieck.

S Z A R A D A

Pierwsza grozi, druga pyta,
A trzecia poznaje,
Za nie wszystkie patrjota
Chętnie życie daje.

Za rozwiązanie powyższych zadań wyznacza się dwie nagrody książkowe. Rozwiązania nadsyłać należy do piątku, dnia 18 stycznia 1935 r.

Rozwiązanie zadań z nr. 50—51 „Moich Powieści": zagadka: znaczek, domyślanka: Nie porzucaj nadzieję, jakoś się kolwiek dzieje, Bo nie już słońce ostatnie zachodzi, a po złej chwili piękny dzień przychodzi.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Henrykowi Żółtowskiemu Ostrów—Nowy Zębców i Józefowi Lewichowiczowi w Lwowie.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

„Boruta Leśny". Zawalidroga dziękuje za pozdrowienia oraz za słowa uznania i zapewnia, że przy okazji znów zabierze głos w sprawie poruszonej w liście.

Wśród warjatów

Upiór zamku Sokolskich

(Romans)

19)

Zakład obłąkanych doktora Morizano! — Jakby grom z nieba padła ta myśl do głowy Kazimierza, oświecając wszystko wokoło. Zimny pot uperlił mu czoło, okropny przestrach ubezwładnił go na chwilę.

Miałby się jeszcze ciągle znajdywać w tym strasznym budynku tego doktora szatana, — w jego władzy, we więzieniu tego nędznika, który unieszczęśliwił jego ukochaną Anielcię?

Ha, jeżeli te wszystkie opowiadania zakonnicy były tylko kłamstwem, — jeżeli go tutaj przeniesiono, aby go uspokoić, trzymać jednak dalej w uwięzi, jeżeli ta siostra miłosierdzia nie była prawdziwą siostrą zakonną, tylko — ? Znowu zadrżał silniej na swojem posłaniu, straszna myśl, okropniejsza jak poprzednie, wpakowała mu się do mózgu.

Te oczy owej pięknej kobiety, kryjącej się pod habitem zakonnicy, te ciemne, wielkie oczy, — on je musiał już gdzieś widzieć. Zrozumiał wreszcie i przypomniał sobie dokładnie kiedy i gdzie to było.

Zaciął usta z całą siłą, by mu się nie wydarł przypadkowo krzyk rozpaczy, — ręce zacisnął tak gwałtownie, że mu się paznokcie powbijały w ciało. Znajdywał się w stanie graniczącym ze szaleństwem.

Ta siostra Esperanda to nie kto inny jak ten sam szpieg, — kobieta, z którą jedną noc spędził wspólnie w zakładzie dla obłąkanych doktora Morizano, — ta sama podła, która zgubiła swą zdradą jego i jego Anielcię, — tak, to ta sama, nie kto inny, — ta sama, z którą przepędził obecnie tyle nocy, jego piastunka, ta zakonnica, podająca mu jadło i napój i lekarstwo.

Lekarstwo! — Teraz zrozumiał Kazimierz dokładnie, dlaczego tak ciężki, ołowiany sen spada mu po zażyciu tegoż na powieki, dlaczego nie może się powstrzymać od snu, dlaczego tenże zamiast go krzepić tak silnie go osłabia, że cała staranna pielęgnacja dnia idzie w niwecz, noc cała psuje kurację, — zapewnie chcą go utrzymać sztucznie w tym stanie, aby mu tenże nie dozwolił na myśl o ucieczce.

A więc znajduje się jeszcze w tym samym zakładzie? Kazimierz był o tem prawie przekonanym. Eleganckie urządzenie jego pokoju nie zdołało zachwiać w nim pewności, — zapewne po zachloroformowaniu przeniesiono go z pierwotnej celi do jakiegoś porządniej umeblowanego pokoju, — przecież było takich więcej w zakładzie doktora Morizano.

„Cicho, na miłość Boga!“ wyszepnął Kazimierz sam do siebie, zmuszając się do spokoju, „ona już tutaj, — przystępuje do mojego łóżka!“

Arabella pospieszyła jakby na skrzydłach miłości niesiona bezwłocznie do łoża chorego. Głęboko pochyliła się nad nim, pytając głosem nieudanie szczerym bez przesady, raczej serdecznie:

„Jakże dzisiaj zdrowie pana hrabiego? Już ósma wieczór, — co porabia gorączka?“

„Dziękuję za zainteresowanie się“, odparł Kazimierz, „ale dzisiaj nie czuję się gorzej, gorączki niemam, tylko jestem strasznie niespokojnym, co to ma znaczyć, że tak długo nie otrzymuję odpowiedzi od ojca“.

„Ona nadejdzie, proszę się tylko nie obawiać“.

„Ach, siostro Esperando, to samo powtarza mi siostra przez tyle dni, a przecież tyle ich już upłynęło i ja stoję bez najmniejszej wiadomości, bez znaku życia z domu. Albo ojciec mój umarł, albo listy jego zostały bezprawnie przez kogoś zatrzymane.

Proszę mi powiedzieć, siostro miłosierdzia, czy siostra wysłała zaraz mój list do ojca?“

Wpatrzył się w nią badawczo, więc nie uszło jego uwagi, że zapytana zadrżała lekko.

„Co za pytanie, panie hrabio!“ odpowiedziała, „gdybym zatrzymała lub schowała pański list, który mi pan powierzył, dopuściłabym się zbrodni, a to przecież nie będzie mnie posądzał pan hrabia?“

„A dlaczego nie przychodzi do mnie dyrektor tego szpitala, przecież prosiłem siostrę swojego czasu o to i siostra przyobiecała mi, że mu powtórzy moją prośbę przy najbliższej sposobności?“

„Ja to także wypełniłam“, odpowiedziała komedjantka pod przybranem imieniem siostry Esperandy, „zapewne był pan dyrektor szczególnie mocno zajęty, od paru dni leży nawet słaby jak słyszałam, zachorował na influenzę“.

„To rzeczywiście fatalny przypadek, ale teraz jestem znużonym, siostro, chciałbym trochę zasnąć“.

„Owszem, niech pan śpi, tylko przedtem proszę bardzo wziąść lekarstwo“.

„Lekarstwo, — nie potrzebuję go, — czuję, że ono mi dobrze nie robi, dzisiaj wieczór nie będę zażywał“.

„Cóż to za upór, panie hrabio, pan przecież nie jesteś dzieckiem, pan wie dobrze, że musi je pan zażywać codziennie. Lekarz, który codziennie odwiedza pana, zapisał je, cóżbym mu miała powiedzieć, jakby mnie zapytał, czy zastosowałam się ściśle do jego przepisów i rozporządzeń? Proszę nie zapominać, że znajduje się pan we wzorowym zakładzie, w którym wszystko idzie według reguły i przepisu jak w zegarku!“

Kazimierz nie odpowiedział ani słowa, ale postanowił sobie mocno, tego wieczora nie wziąść lekarstwa.

„Proszę tylko pozwolić, że zjem najprzód kolację, którą sobie ze sobą przyniosłam; potem przygotuję panu zaraz lekarstwo, a potem może pan spać spokojnie; będę się modliła, aby Pan Bóg zesłał panu zdrowy, pokrzepiający sen“.

Piękna kobieta, której pełne formy uwydatniały się nawet pod grubą materją habitu odwróciła się od łóżka i podeszła do stołu, na którym postawiła przedtem tacę.

Na tacy stała kolacja jej, pieczeń, kromka chleba z masłem, owoce i szklanka wina, zmieszanego z wodą.

„Czy nie zechciałaby mi siostra najprzód przyrządzić lekarstwo?“ spytał Kazimierz właśnie w chwili, kiedy miała ochotę zasiąść do kolacji, „mógłbym pod czas tego, kiedy siostra będzie jeść, pomału popijać“.

Tego życzenia nie mogła choremu odmówić, musiała się zgodzić. Wzięła szklankę wody i wpuściła doń parę kropli ekstratu, który zafarbował ją na różowo.

Na srebrnej tacy poniosła szklankę z lekarstwem i postawiła ją tuż koło łóżka, na nocnym biórku.

„Dziękuję, siostro Esperando“, zawołał słaby prostując się nieco, „pani jesteś tak dobrą względem mnie, że doprawdy niewiem, czem ja jej wynagrodzę tę troskliwość i opiekę“.

„Ja nie żądam nagrody“, odparła Arabella, „to jest przecież moim obowiązkiem“.

„A nie będzie siostra się gniewać, jeżeli poproszę ją teraz jeszcze o jedną przysługę?“

„Ja miałabym się gniewać?“ głos Esperandy zawibrował serdecznym odcieniem, „o nie, panie hrabio, gniewać nie będę się nigdy, — przenigdy“.

„W takim razie będę panią prosił jeszcze o jedną poduszkę, mam wprawdzie dwie pod głową, ale pomimo tego leżę za nisko“.

Jak zawsze tak i teraz pospieszyła usłużna siostra spełnić życzenie słabego.

Zaledwie jednak zamknęły się drzwi za nią, porwał się Kazimierz z łóżka, wiedząc, że niema wiele czasu do stracenia ;w dwóch skokach znalazł się przy stole, porwał szklankę zakonnicy, z rozpuszczonem czerwonem winem, stawiając na jej miejsce swoje lekarstwo. Poniósł pospiesznie wino na biurko koło łóżka, postawił je na srebrnej tacy i wskoczył do łóżka.

Był już najwyższy czas, że znalazł się w posłaniu, bo właśnie otworzyły się drzwi, a w nich ukazała się Arabella, niosąc żądaną poduszkę.

„Napełniona najmiększem pierzem, proszę tylko spróbować, wyszukałam najlepszą dla pana. A teraz proszę się trochę podnieść, abym ją panu mogła wsunąć pod głowę“.

Poprawiła mu posłanie, była mu nawet pomocną przy podniesieniu się; za każdą razą, kiedy jej białe ręce dotknęły się jego ciała, przelatywał błogi uśmiech po jej obliczu.

„A teraz proszę wziąść lekarstwo, panie hrabio, ono panu dobrze zrobi“, zawołała, podając mu szklankę z czerwonym płynem.

„Ja sam nie wiem, co to jest“, odparł Kazimierz, „ale to lekarstwo czyni mnie tak śpiącym, — możeby przecież było lepiej, gdybym go nie zażywał. Ale że

już mi siostra je podaje, nie będę się wzbraniał wypić go, jestem przekonanym, żeby mi pani niczego nie dała, coby mi mogło szkodzić".

Z przekonaniem skinęła Esperanda głową, kładąc rękę na piersi, jakby chciała tym znakiem go uspokoić. Kazimierz wziął szklankę z jej rąk i wypił płyn z udaną niechęcią.

„Widzi siostra, prawie natychmiast przychodzi na mnie sen, już się powieki zamykają, chciałbym chętnie jeszcze chwilę porozmawiać, ale, — ale, — nie mogę. Dobranoc, kochanej siostrze, — dobranoc, Esperando, — ja —"

Dalsze słowa zamarły mu na wargach, głowa opadła na poduszki, zdawał się spać głęboko.

Pulchna i piękna kobieta, przybrana za mniszkę, stanęła tuż nad nim bez ruchu ze skrzyżowanemi rękoma na bujnych piersiach, które podnosiły się i opadały w szybszem tempie niż fale morza.

„Do mnie należysz", zaszeptała głosem złamanym nadmiarem namiętności, „do mnie tylko, do żadnej innej! Już nie długo będziesz tu przebywał w tym budynku, — wkrótce postaram się o to, aby moje serce zwycięstwo odniosło, — a potem, — potem będę miała łatwą grę, potem już nie uciekniesz odemnie! Jak raz zakosztujesz słodyczy miłości na mojej piersi, zaprzedasz się na zawsze w moją niewolę! Chyba byłbyś wyjątkiem, — pierwszym mężczyzną, któryby umiał poszarpać te więzy serca mego. Książęta i hrabiowie leżeli już u moich nóg, i ja umiałam ich tak długo przy sobie trzymać, jak długo mi się podobało, — i ty będziesz mi się wysługiwał i ty będziesz moim niewolnikiem, młody, ładny hrabio, a Anielcia Dubois pójdzie w zapomnienie".

Odstąpiła na bok. Pomału udała się do stołu, z lekkiem westchnieniem tęsknoty usiadła na krześle. Nie tknęła ani paradnych owoców, ani chleba z masłem, który dla niej był przygotowanym, tylko szklankę z winem i wodą chłodzącą przyłknęła gorączkowo do ust i poczęła pić chciwie, aż wypróżniła ją do ostatka.

„Z doktorem Morizano muszę się także porachować", mruczała do siebie, „nie zgadza się na to, abym uwiozła mego Kazimierza, — ale ja go potrafię zmusić do zgody. Najwyższy czas, abym stąd wyjechała. Już od paru tygodni zajmowałam się tak mało całą sprawą Loli, tylko z jej tajemnych listów wiem coś nieco, że tam dosyć dobrze wszystko idzie w tym zamku Sokolskich. Ale teraz już czas, abym się znowu Loli pokazała, ona młoda, mogłaby łatwo jakieś głupstwo strzelić, które mogłoby sprowadzić bardzo nieprzyjemne następstwa dla nas i dla naszego przedsięwzięcia.

„Ale jak tu duszno w tym pokoju", dodała po małej pauzie, „muszę otworzyć okno, aby chłodne nocne powietrze orzeźwiło mnie trochę, kraty także usunę, on śpi już przecie. Będę wyglądała jakiś czas przez okno na ogród, aby powietrze ochłodziło moje rozpalone czoło".

Postąpiła do okna, otworzyła je i pocisnęła skrytą sprężynę, która służyła do usunięcia krat. Natychmiast rozsunęły się one po obu stronach w bok, podobnie jak firanki.



W porcie nowojorskim pewien frachtowiec najechał statek pasażerski „Lexington". Z 200 pasażerów znalazło śmierć w nurtach wody 15. Powyżej wewnętrzny port nowojorski.

Ale w tej samej chwili, jak tylko wsparła się na oknie, chcąc przez nie wyglądać, uczuła jakąś dziwną niemoc, której nie mogła się oprzeć.

„Święty Boże, co to takiego", pomyślała, „to znużenie i osłabienie dziwne, zupełnie, jakby mi krew zastygła w żyłach, — ja się rzeczywiście boję, — co to takiego? — Ja muszę być słabą, — ja —"

Podczas tych słów doszła z trudem do środka pokoju, — chciała koniecznie, wiedziona instynktem, dostać się do rączki u dzwonka, — chciała zadzwonić na służbę. Ale na środku pokoju usunęła się na podłogę ze słabym okrzykiem, — jej powabne, pulchne ciało zaległo na kobiercu, nie miała nawet czasu uporządkować swojej sukni, która odsunęła się aż do kolan.

Zasnęła. Piersi falowały regularnie, — oczy zamknęły się szczelnie, tylko wargi zostały nieco odchylone, tak że można było przez nie widzieć jej białe zęby.

Biały welon, którym tak starannie zakrywała zawsze swoją twarz, zdarła sobie sama przy upadku, widać chciała złapać więcej powietrza.

Przez kilka minut zapanowała zupełna cisza w pokoju. Następnie podniósł się Kazimierz powoli ze swojego łóżka. Ponieważ nie zażył lekarstwa, nie spał ani sekundy, cały czas obserwował z niepokojem graniczącym ze szaleństwem wszystkie ruchy oszukanki.

Niestety nie mógł zrozumieć słów, które piękna cyganka mruczała pod nosem: coby był dał za to, gdyby ją mógł podsłuchać, przeczuwał, że dowiedziałby się jakiejś ważnej tajemnicy.

Ale teraz rozchodziło się o jego wolność. Z szybkością począł się ubierać następnie podszedł natychmiast do śpiącej. Tylko jeden moment wglądnął w jej twarz, — przekonał się, że się nie omylił.

Była to ta sama podła Circe, która wkradła się do jego więzienia, aby go zdradzić, która okazała się potem wspólniczką doktora Morizano.

Ona go zatrzymała i odosobniła od świata, ona mu przeszkodziła w ratunku Anielci, i — ach, — Kazimierzem zawładnęło nagle takie silne uczucie gniewu i nienawiści, że musiał walczyć ze sobą, aby nie porwać tę zwodniczą kobietę za jej białą szyję i nie udusić jej we śnie.

Arabella znajdowała się zupełnie na jego łasce lub niełasce, któżby mu przeszkodził silnem ściśnieniem rąk zadusić tego węża o pięknej skórze, wówczas byłby uwolnionym od swego fałszywego wroga.

Kazimierz cofnął się mimowoli, chowając ręce do kieszeni.

„Nie, hrabia Zamski nie morduje, zwłaszcza bezbronnych", wyrzekł, jakby dla własnego uspokojenia, „prędzej albo później spadnie i na nią kara nieba, — nacóż miałbym przedwcześnie grać rolę jej nemezis!

„A teraz prędko do dzieła! Fałszywa kobieta zrobiła już i tak wiele, bo otworzyła okno i rozsunęła kraty naciśnięciem na tajemną sprężynę. — Jeden skok, a znajdę się w ogrodzie, a potem, — ha, do ludzi, aby roztrąbić wszędzie o tych zbrodniach, jakie się tu dzieją, aby ich wyrwać z ich letargji i pobudzić do czynu.

„Tak, panie doktorze Morizano, nadeszła twoja godzina, — nie będziesz więcej zwodził świata i ludzi, — nie będziesz traktował chorych jak psów, które się odgania kopnięciem nogi do kąta, — nie będziesz więcej praktykował twoich zbrodni zamykając i więżąc zdrowych na umyśle w podziemnych piwnicach, aby w samotności padły ofiarą warjactwa. Ja, hrabia Kazimierz Zamski, wynajdę środek na ciebie, ja cię muszę

wpakować do więzienia, to przyrzekam ci święcie na miłość mojej Anielci, którą wydrę przedewszystkiem z twoich szponów!"

Kazimierz przekonał się jeszcze raz, że Arabella zasnęła głęboko, wiedział dobrze o tem, że sen ten potrwa aż do rana, a więc co do niej nie potrzebował się niczego obawiać, ktoś inny nie śmiał wchodzić do jego pokoju, miał więc parę godzin zupełnie wolnych i mógł je wykorzystać wedle swojej woli.

W kilku skokach znalazł się na oknie. Popatrzył się na dół. Nie przeląkł się wysokości. Na szczęście rósł tuż pod oknem wysoki orzech, którego gałęzie dochodziły aż do szyb.

Kazimierz był zawsze dobrym gimnastykiem, — z łatwością uchwycił jeden konar. Całym zamachem odbił się od framugi.

Jakiś czas wisiał pomiędzy ziemią a niebem, — obu rękami uchwycił silnie za drugą gałąź i kołysząc się gwałtownie całem ciałem dostał się aż do pnia po którym zeszedł zręcznie na dół.

Wreszcie dotknęły jego stopy ziemi, — bez szwanku skoczył na trawę. Ze szybkością gonionego przebiegł przez ogród, który przytykał do zakładu obłąkanych doktora Morizano.

Dobiegł do muru, otaczającego całe zabudowanie; stanął na chwilę, spoglądając napowrót na budynek.

Tak, to był zakład obłąkanych doktora Morizano, — poznał go dokładnie, przypominając sobie tę straszną godzinę, w której chciał przemocą wedrzeć się do środka, aby nieść pomoc Anielci, wołającej o ratunek. Już wtedy przeczuł był, że musiała wpaść w ręce jakichś zepsutych, podłych ludzi. Tam po drugiej stronie rozciągał się las, w którym zeszedł się po raz pierwszy ze swoją ubóstwianą, a tam na prawo ciągnął się szeroki gościniec, prowadzący do miasta.

Jeszcze raz spojrzał na siwe mury. Oczy poczęły mu pałać niezwykłym ogniem, wpijał się w pojedyńcze cegły wzrokiem jakby chciał przejrzeć przez nie do środka. Ach, cóżby dał za to, gdyby wiedział napewno, czy jego Anielcia jeszcze w tych murach!

„Ja muszę się dowiedzieć", zawołał sam do siebie, przyciskając skronie kurczowo zaciśniętemi rękami, — „jeszcze dzisiejszej nocy muszę mieć pewność pod tym względem, muszę się dowiedzieć, co się z tobą stało, moja ukochana Anielciu, a biada temu opryszkowi, jeżeli nie odbiorę cię czystą i nieskalaną z jego rąk, wówczas nie zadowolę się tylko tem, że go wydam policji, — o nie, — własnemi rękami zaduszę go jak gada".

Nagle zamilkł, spojrzał uważnie na jedno okno w drugiem piętrze opatrzone podobnie jak wszystkie inne kratami.

Jakieś słabe światło świeciło w celi i jakiś cień przebiegł wszerz okna wracając z powrotem. — Ha, to była Anielcia, tak, to to ubóstwiane, gorąco ukochane dziewczę. — Tam w górze stoi i przyciska czoło do szyby, — wzrok jej zda się liczyć miljony tych jasnych, świetlistych gwiazd rozsianych po niebie, ręce spoczywają złożone w krzyż na piersi. — Kazimierzowi zdało się, że widzi łzy, które z jej oczu spadają po twarzy. Poskoczył znowu z powrotem aż do środka ogrodu, — chciał wołać, krzyczeć, — ukochane imię wisiało mu już na wargach, — jednak w następnej sekundzie powstrzymał się na szczęście, — o nie, teraz nie mógł narażać się na dalsze niebezpieczeństwa, przedewszystkiem musiał być wolnym, bo od tej wolności jego zawisł przyszły los Anielci.

Podniósł tylko ręce, rozkrzyżował ramiona, jakby obejmując tę drogą postać i przyciskając ją do serca.

Po cichu zaszeptały jego wargi:

„Bądź zdrowa, Anielciu, — bądź zdrowa, — tylko parę godzin jeszcze musisz przebyć w tem piekle na ziemi, — i moją miłość, ma droga, — gorącą miłość!"

Jeszcze raz popatrzył w górę, — długo, usilnie, jakby chciał sobie wbić głęboko w duszę obraz ukochanej, poczem odwrócił się.

Niezadługo znalazł się znowu u podnóża muru, zamykającego mu dalszą drogę.

Cały mur był wysoki i zupełnie gładki. Kazimierz wypatrzył jednak w jednem miejscu dość wysoki pagórek ze żwiru, który złożył tam widocznie ogrodnik, aby posypać nim porobione nowe ścieżki. Z tego pagórka poskoczył z całą siłą w górę, czepiając się rękami krawędzi cegieł, poczem podniósł się na ramionach na wierzch.

Zuchwały skok i oto znalazł się poza obrębem władzy doktora Morizano, na drugiej stronie. Ile mu sił starczyło, pospieszył teraz naprzód, nie oglądając się więcej za siebie, — umknąć z pobliża tego strasznego zabudowania było dla niego teraz jedynym celem. Nie zatrzymał się w biegu, dopiero może w pół godziny widząc tuż przed sobą jakiś wysoki budynek.

Na pierwszy rzut oka można było poznać, że był to jakiś dawny, stary zamek. Z jednej strony dachu wznosiła się wieża, balkony i gzymsy ozdabiały cały front onego w gotyckim stylu pięknie zbudowanego pałacu. Łagodne światło miesiąca padało właśnie na mury, oświetlając piękne płaskorzeźby i ozdoby; dziwnie poważny nastrój owładnął Kazimierza na widok tego wspaniałego gmachu. Jak olbrzym wyłaniał się on ze zieleni parku, spoglądając z dumą w dal na całe rzędy małych domków, których zarysy majaczyły w dali zdradzając pobliże miasta.

Kazimierz poczuł dopiero teraz, że zanadto nadwyrężył swe siły tą gwałtowną ucieczką i szybkim biegiem.

Już cztery tygodnie, jak nie był na świeżem powietrzu, — dzień w dzień wsączała mu tą zdradziecka kobieta krople, które wprawiały go w głęboki sen, nużący go każdą razą śmiertelnie i denerwujący cały jego organizm. Młody hrabicz poczuł nagle zawrót głowy, — z lekkim okrzykiem wsparł się na kamieniu, wskazującym oddalenie od miasta.

Jak długo tam siedział, niewiedział dokładnie; — nie stracił zupełnie przytomności, ale owładnęło go tak wielkie znużenie, że wszystko mu było naraz obojętnem. Wprawdzie czuł się bezpiecznym i wiedział, że tak daleko nie będą za nim szukać, — ten łotr doktór Morizano nie odważyłby się tutaj go napastować, — chciał tylko nieco spocząć, przyjść do sił w świeżem powietrzu.

Usłyszał jakiś turkot wozu, trzaskanie biczem, — zbudził się jakby z głębokiego snu. Wóz chłopski toczył się powoli po gościńcu, stary woźnica kroczył około pary wołów, przynaglając je batem.

„Przebaczcie, moi kochani", zawołał Kazimierz słabym głosem, „jak daleko stąd jeszcze do miasta?"

Nie zatrzymując się odpowiedział mu chłop:

„Jeżeli pan dobrze pomaszeruje, to w czterdziestu minutach może pan dojść."

„Czterdzieści minut?" na jego zmęczenie możnaby porachować trzy godziny.

Kazimierz podniósł się i powlókł się pomału za wozem, pytając jeszcze raz starego:

„A do kogo należy to zabudowanie podobne do zamku, nie moglibyście mi tego powiedzieć, kochany przyjacielu?"

„To zamek Sokolskich", odparł chłop niechętnie, niedowierzając nieznajomemu ciekawemu, który po nocy włóczy się po gościńcu i dopytuje się o takie proste rzeczy.

„Zamek Sokolskich?" zawołał Kazimierz, kierując powtórne pytanie do chłopa, „to zapewne hrabia Zygmunt Sokolski mieszka w tym zamku?"

„A juści", zawołał chłop, „hrabia Zygmunt Sokolski, tak się nazywa teraźniejszy pan. — „Ho!" Nie spijcież m. moje woły, dalej w drogę, abyśmy się uwolnili od tego ciekawca".

Kazimierz odwrócił się od niegrzecznego woźnicy, — dowiedział się wszystkiego, czego chciał; z ciekawością połączoną z uciechą począł oglądać zamek Sokolskich.

„Hrabia Zygmunt", zaszeptał sam do siebie, „to ten sam stary przyjaciel mego ojca, do którego mam nawet w pomieszkaniu list polecający; już dawno chciałem mu oddać to pismo mego ojca i złożyć mu wizytę, — ale powiedziano mi, że się zupełnie odosobnił i że niechętnie przyjmuje gości.

Ale dzisiaj muszę naprawić moją opieszałość, — on mi wybaczy, choćbym i o północy zapukał do jego bramy, — nie odmówi mi pomocy, gdy go poproszę, aby udał się razem ze mną do prezydenta policji, aby jeszcze dzisiaj to gniazdo zbrodni w zakładzie doktora Morizano zostało wymiecione. Tak, to znakomita myśl, — hrabia Zygmunt Sokolski jest wpływową osobistością, — jeżeli stanie po mojej stronie, — o czem nie wątpię, — odzyska moja ukochana Anielcia jeszcze dzisiaj wolność".

Kazimierz pospieszył w kierunku zamku, dotarł do ogrodu; boczna furtka, prowadząca do parku, była niezamknięta. Chcąc sobie zaoszczędzić drogi, aby nie musiał iść aż do głównej bramy, wszedł do ogrodu.

W zamku ujrzał jedno okno w pierwszem piętrze oświecone, — ach, może hrabia Zygmunt jeszcze nie śpi, niezawodnie przyjmie go natychmiast, jak tylko każe się zameldować przez służącego i poda swoje nazwisko.

(Ciąg dalszy w nast. numerze.)

Tajemnice Wenecji

(Przekład z francuskiego) 70)

Ponury dzwon przebudził prawie wszystkich mieszkańców wyspy. Wszyscy spieszyli do ognia. Ze wszystkich stron nadbiegali mężczyźni, trzymając w ręku bosaki. Nie byli oni już w stanie uratować płonącego domku, mogli tylko porozrywać go i w ten sposób zmniejszyć działanie ognia.

ROZDZIAŁ XLIX

Admirał żyje!

Strażnik Ludovico, powróciwszy z Wenecji, spotkał w przedsionku wieży Edytę i żonę swoją Lauretę. Obie kobiety wyszły z izby, aby nie przerywać snu hrabiemu Orestowi Mirafiore.

Serce Edyty przepełnione było radością i nadzieją. Nie wątpiła już, że zdoła ojca utrzymać przy życiu. Laureta umacniała ją w tem przekonaniu, wspierała radą i czynem. Niepokój powrócił, skoro ujrzała strażnika.

— Czy na górze wszystko w porządku? — zapytał swojej żony. — Szkoda, że nie zostałaś na górze.

— Spodziewałam się, że niebawem przybędziesz i dlatego wyszłam na twoje spotkanie — objaśniła Laureta. — Dlaczego tak długo byłeś w mieście?

— Bo tam dzieją się dziwne rzeczy.

— Ale nic nikomu nie mówiłeś, że signorina mieszka w naszej wieży?

— Niech Bóg broni! Z nikim nie mówiłem o signorinie. Zresztą w Wenecji wszyscy są czem innem zajęci. Boję się, żeby znów nie wybuchło powstanie.

— Cóż się stało? — zapytała Laureta.

— Wiesz dobrze, że doża został skazany na śmierć; dziś rano miał być wykonany wyrok. W nocy jednak dożę uprowadzili jego sprzymierzeńcy.

— Jakto! Doża uciekł? — zawołała Edyta.

— Tak — odrzekł strażnik. — Nikt nie wie jak się to stało. Nikt nie wie w którą stronę popłynął doża.

— A więc jest ocalony?! — zawołała Edyta.

— Najzupełniej. Naród cieszy się bardzo, że dożę uprowadzono.

— Bardzo wierzę. I mnie wiadomość ta bardzo ucieszyła — rzekła Edyta.

— No, trzeba iść na górę. Wiesz kogo spotkałem niedaleko wieży? — zwracając się do żony, zapytał strażnik. — Wyławiacz trupów krąży w tych stronach; czyni wrażenie człowieka czegoś szukającego.

Rzekłszy to Ludovico, udał się na swoje stanowisko.

— Poczciwy Jacopo, szuka zapewne mojego ojca — szepnęła Edyta. — Byłabym szczęśliwą, gdybym mogła zasięgnąć jego rady: poczciwy ten starzec, obmyśli schronienie dla mojego ojca.

— Ale czy on was nie zdradzi? — zapytała Laureta. — To sługa tajnego trybunału.

— Oh, nie lękajcie się! Godzień jest zaufania — rzekłszy to Edyta, wyszła z wieży.

Wyławiacz trupów wchodził właśnie na odsep. Edyta niebawem go dogoniła.

— Sanyta Madonna! jakie to szczęście, że was spotykam, signorino — zawołał. — Byłem przed chwilą w starej wieży.

— I nikogo w niej nie znaleźliście. Podzielę się z wami szczęściem, jakie mnie spotkało. Znalazłam ojca. Mój ojciec żyje!

— Admirał żyje? — zapytał wyławiacz trupów.

— Jest jeszcze bardzo chory, ale mam nadzieję, że przy Boskiej pomocy przyjdzie do siebie.

— Gdzież jest szlachetny admirał?

— Pójdźcie zemną Jacopo.

— Do wieży?

— Tak! Wieża jest jego chwilowem schronieniem.

Wyławiacz trupów zadrżał.

— Zaufałaś strażnikowi, signorino? — zawołał.

— On nie wie o niczem, wtajemniczyłam tylko Lauretę — zapewniała Edyta, prowadząc Jacopa do wieży. — Was będę prosić o pomoc: musimy przenieść starca w bezpieczniejsze miejsce. Czy widzieliście Rodriga?

— Nie signoro, nie wiem gdzie przebywa ten szlachetny pan.

— Zapewne zdołał uciec. Teraz muszę się zająć moim ojcem.

Jacopo wszedł za Edytą do przedsionka wieży, gdzie oboje zostali powitani przez Lauretę.

— Zaczekajcie chwilkę — szepnęła Edyta — zobaczę czy mój ojciec się obudził.

Rzekłszy to, weszła do izby. Wkrótce ukazała się na progu i skinieniem ręki przywołała Jacopa i Lauretę. Oboje weszli do izby.

Na łóżku leżał hrabia Mirafiore. Ująwszy dłoń swojej ukochanej córki, spoglądał na wchodzących. Zdawało się, że przytomność powróciła. Wzrok jednak wywarł na wyławiaczu trupów dziwne wrażenie: załamał ręce, upadł na kolana, i łzy spływały po jego siwej brodzie. Widział admirała, a ojca Edyty, którego nieszczęśliwa tak długo poszukiwała.

Wytrwałość i miłość została nagrodzoną. Admirał żył, lecz czynił wrażenie człowieka, który powracał z grobu, aby ukarać okrutnych prześladowców ukochanej córki.

— Błogosławioną niech będzie Najświętsza Panna! — szepnął Jacopo.

Zdawało się, że admirał poznaje wyławiacza trupów. Wyciągnął doń rękę.

— To zacny Jacopo, mój ojcze — rzekła Edyta. — Nieraz ocalił mnie przed niechybną zgubą, pomagał mi w szukaniu ciebie, mój ojcze.

— Poznaję go — rzekł starzec słabym głosem. — Jestem przytomny, ale bardzo słaby...

Jacopo przycisnął do ust rękę admirała.

— Chcę żyć aby ukarać zbrodnię i nadać córce należne prawa — ciągnął admirał. — Za parę dni będę zdrów! W starej wieży znosiłem niewysłowione męczarnie głodu i pragnienia.

Edyta opowiedziała wyławiaczowi trupów, w jaki sposób zdołała wynaleźć admirała.

— Tu nie możecie pozostać dłużej, jaśnie oświecony panie — rzekł Jacopo, skoro Edyta zamilkła. — Do pałacu Mirafiore również nie możecie się udać; wobec takiego osłabienia, wzruszenie mogłoby sprowadzić najfatalniejsze skutki.

— Macie słuszność Jacopo — rzekła Edyta.

— Czy nie byłoby dobrze, gdybym zawiózł pana hrabiego do mojego sklepionego domku? — ciągnął Jacopo. — Wy, signorino, będziecie pielęgnować swojego szlachetnego ojca.

— Cóż powiesz na to, mój ojcze? — zapytała Edyta.

— Jacopo ma słuszność — rzekł admirał. — Za parę dni przyjdę do siebie.

— W takim razie, tej jeszcze nocy, popłyniemy do domku — rzekł Jacopo.

— Więc zgadzasz się mój ojcze? — zapytała Edyta.

— Ale przecież nie zajdę do łódki.

— Zaniesiemy cię ojcze.

— I ja pomogę — rzekła Laureta. — Mam tu nawet przygotowany płaszcz; na dworze chłodno.

Admirał z wdzięcznością spojrzał na poczciwą kobietę. Usiłował powstać, był jednak zbyt osłabiony głowa jego opadła na poduszki.

Skoro odpoczął, Jacopo, Edyta i Laureta wzięli go pod ręce i starzec ledwo powłócząc nogami, zdołał wyjść z wieży.

Teraz Laureta zarzuciła nań płaszcz, życząc szybkiego wyzdrowienia. Edyta i admirał podziękowali za okazane im dobre serce i poszli do łódki wyławiacza trupów. Na dnie jej ułożono rodzaj posłania z trawy, na którem spoczął admirał.

Jacopo ujął wiosło. Edyta usiadła u steru i łódka odbiła od brzegu.

Podróż odbywała się bardzo szybko i łódka nie napotkawszy na drodze najmniejszej przeszkody, zbliżyła się do sklepionego domku.

Jacopo przymocował ją do schodków, a następnie wraz z Edytą pomógł admirałowi powstać z prowizorycznego posłania. Świeże powietrze pokrzepiło starca i teraz bez wielkich trudności zdołali przeprowadzić go do sklepionego domku.

Tu znajdowało się posłanie, na którem położono chorego. Wyławiacz trupów przyniósł wody, wina i pożywienie; dołożył wszelkich starań, aby gościom jego nie zbywało na niczem.

— Dziękuję za wszystko, mój dobry Jacopo — rzekła Edyta. — Serce moje przepełnione jest nadzieją szczęśliwej przyszłości. Długo walczyłam, długo tryumfowała zbrodnia, ale niebawem wybije godzina kary. Bóg uczynił cud: ojciec mój żyje!

ROZDZIAŁ L.

Pod zwaliskami

Cofnijmy się do podpalonego przez zbirów domku Edyty, w którym Rodrigo, nie znalazłszy wyjścia, narażony był na straszną śmierć.

Wśród tłumu kobiet i mężczyzn, którzy przybiegli dla ratowania płonącego budynku, znajdował się Jeronimo i Amadeo.

— Powinni spieszyć się z gaszeniem ognia — rzekł Jeronimo do swojego towarzysza. — Kto wie, czy pod gruzami nie znajdą kogo.

— To dom signoriny — odrzekł Amadeo. — Czyżby w chwili wybuchnięcia pożaru była w domu?

Zdawało się, że nikt się nie domyśla prawdy. Siepacze dawno odpłynęli do miasta. Kilku rybaków bosakami rozrywało płonące wiązania, zmniejszając tym sposobem potęgę żywiołu.

Jeronimo widział, że wszystko padło pastwą ognia. Przekonanie, że nic nie zdoła pochwycić dla siebie, skłoniło go do oddalenia się od domku, ratunek pozostawiając innym.

Wieczorem Jacopo był w domku Stefany, i nie znalazł już wiedźmy, uwolnionej przez żołnierzy z swojego prowizorycznego więzienia. Nie wiedząc, jak sobie tłomaczyć nieobecność Stefany, popłynął do Wenecji; wkrótce powracał na wyspę San Nicolo, z zamiarem przepędzenia nocy w swojem mieszkaniu.

Nagle usłyszał głos dzwonu. Wkrótce, płynąc w swojej łódce, ujrzał na niebie krwawe odbicie ognia. Jacopo zadrżał, jedna z chat na wyspie padła pastwą ognia.

Silniej wiosłował. Każda minuta wydawała mu się nieskończonością. Teraz widział już płomienie, wzbijające się w górę, wysoko. Nareszcie przybił do brzegu. Jakież było jego przerażenie, ujrzawszy domek signoriny, ogarnięty płomieniem.

— Najświętsza Matko Boża! — szepnął — jak się to stało? Co spowodowało ogień? Może signor Zeni nie zagasiwszy świecy, udał się na spoczynek i stąd to wielkie nieszczęście.

Wyławiacz trupów pobiegł do ognia. Przed chwilą właśnie z łoskotem spadł dach, a kilku rybaków rozrywało go bosakami.

— Zmiłujcie się ludzie, czy w domku nie znaleźliście jakiego człowieka? — przybiegłszy do gromadki zawołał Jacopo.

— Nie, wyławiaczu trupów — zawołali obecni.

— W domku nie było nikogo — objaśnił jeden z rybaków.

— A więc z czegoż wynikł ogień? — zapytał Jacopo.

— Podłożyli go siepacze — rzekł jeden z rybaków. — Jeden z nich mówił mi nawet, że widział w domku ducha dawno zmarłego Rodriga Zeni.

Objaśnienie to wszystko wypowiedziało.

— Pomóżcie mi, dobrzy ludzie — zawołał Jacopo. — Może uratujemy nieszczęśliwego.

Jedni ofiarowali swoje usługi, inni machnęli ręką.

— Tu nie ma ratunku. Wszystko już spalone — rzekli.

— Jeżeli w domku znajdował się człowiek — rzekł jeden z rybaków — to napewno przemienił się w węgiel.

Jacopo nie zwracając uwagi na mówcę, uchwycił bosak i przy pomocy rybaków szybko odgarniał płonące belki. Teraz przyległe budynki nie były już zagrożone przez ogień. Widząc to zgromadzeni rybacy, rozchodzili się, powracając do mieszkań, z których wywołał ich alarm.

Wkrótce przy zgliszczach pozostał jeden tylko Jacopo. Nie zwracając uwagi na dym, który gryzł mu oczy, i utrudniał oddychanie, z niesłającą energją odsuwał zwęglone szczątki domu, drżąc, że lada chwila zaczepi bosakiem o zwęglone ciało szlachetnego Rodriga.

Nagle Jacopo ujrzał podłogę złożoną z bardzo grubych desek, zwęglonych tylko z wierzchu. I one byłyby padły pastwą ognia, gdyby nie szybkie usunięcie płonących części. Usunąwszy wszelkie przeszkody zagrażające drogę, zbliżył się do podłogi i ujrzał, że znajdowały się w niej drzwi wiodące do piwnicy. Uniósł je, owiało go wilgotne powietrze, przepełnione dymem.

Przez umysł jego przebiegła myśl, że może Rodrigo ukrył się w tej piwnicy. Przypuszczenie to radością i nadzieją przepełniło jego serce. Nachyliwszy, się zawołał w otwór:

— Signor Zeni! Czy jesteście tu? To ja, wyławiacz trupów.

Jacopo słuchał. Wkrótce usłyszał głuchy okrzyk.

— Święty Nicolo! Rodrigo ukrył się w piwnicy. Nie wahając się ani chwili, zeszedł do piwnicy.

— Signor Zeni! — zawołał. — Gdzie jesteście? W tej samej chwili potrącił nogą ciało człowieka. Nachylił się. Rodrigo Zeni leżał obezwładniony przez dym; daremnie usiłował powstać.

— Dzięki Bogu, że znalazłem was — zawołał Jacopo.

— Powietrza! — jęknął Rodrigo.

— Tu są schody. Może zdołacie wejść przy mojej pomocy — rzekł Jacopo. — Dzięki Bogu, niebezpieczeństwo już minęło.

— To było straszne — powstając, szepnął Rodrigo. — Przedsmak piekła.

— Dziękujcie Bogu, że ocalił was — rzekł Jacopo — że możecie usłyszeć radosną nowinę: admirał żyje! Signora Edyta znalazła swojego ukochanego ojca!

Zdawało się, że Rodrigo nie zrozumiał mowy wyławiacza trupów. Oszołomiony dymem, nie był w stanie zdać sobie sprawy z tego co słyszał.

Jacopo zatrzymał się przy schodach.

— Odpocznijcie, monsignore — rzekł. — Potem wejdziemy na górę.

— Tam ogień — rzekł Rodrigo, spoglądając w górę. — Widzicie Jacopo?

— Nie! To odbicie tlących się belek. Ogień już dogorywa — objaśnił Jacopo.

— Wszystko mi się kołuje przed oczyma, nie mogę zebrać myśli.

— To całkiem naturalne, monsignore.

— Chodźmy stąd. Powietrza! Powietrza! — jęknął Rodrigo.

— Dobrze monsignore — wziąwszy go pod rękę, rzekł Jacopo. — Powoli dostaniemy się na górę. Na świeżem powietrzu przyjdziecie do siebie!

— Siepacze podłożyli ogień — mówił Rodrigo. — Nie znalazłem wyjścia... dym mnie dusił... upadłem... za chwilę przypomniałem sobie istnienie piwnicy... nie wiem nawet jak się dowlokłem do niej...

Nareszcie Rodrigo został wyprowadzony przez Jacopa na świeże powietrze. Czuł się ocalonym, a jednak, skoro spojrzał na zgliszcza, opanowało nim niewysłowione przerażenie, na wspomnienie niebezpieczeństwa w jakiem się znajdował.

— Gdzie Edyta? — zapytał słabym głosem.

— Nie lękajcie się o nią, monsignore — odrzekł Jacopo. — Przebywa ona w bezpiecznem schronieniu. A teraz pójdźcie do mojej chaty, uboga ona, ale znajdziecie w niej spoczynek.

— Czy tam jest Edyta?

— Nie, signora przebywa w sklepowym domku.

— Czy tam nie zagraża jej żadne niebezpieczeństwo?

— Jeszcze parę dni, a signora wszędzie będzie mogła przebywać.

— Może mnie słuch myli? Czy rzeczywiście mówiliście mi o admirale?

— Tak, monsignore. Skończyły się już dni walki! Admirał żyje, a w tej chwili signora Edyta jest przy nim!

— Dlaczegoż się ukrywa? Powinien ukazać się w Wenecji.

— Stanie się to monsignore. Nie nadeszła jednak jeszcze stosowna chwila.

Jacopo doprowadził teraz Rodriga do swojej chaty.

— Na cóż czeka admirał?

— Na wyzdrowienie — rzekł Jacopo i w krótkich słowach opowiedział stan, w jakim Edyta znalazła swojego ojca.

— Nieszczęśliwy starzec — westchnął Rodrigo —umierał z głodu i pragnienia.

— To dzieło Jinga, monsignore. On w starej wieży uwięził admirała.

— Lękam się o Edytę i o admirała — rzekł Rodrigo. — Do sklepionego domku często zaglądają siepacze.

— Bóg da, że starzec wkrótce powróci do sił, a wtedy wszystko się rozstrzygnie.

— Nie pojmuję, dla czego admirał, pomimo osłabienia nie udał się do pałacu dożów i nie wezwał pomocy doży i rady dziesięciu.

— To łatwo objaśnić, monsignore. Doża zmuszony był uciec z Wenecji. Radą dziesięciu kierują inkwizytorowie — odrzekł Jacopo i opowiedział wszystkie zaszłe wypadki.

Za chwilę obaj weszli do chaty.

— Mniemany hrabia Mirafiore — mówił Jacopo — sądzi, że nigdy zbrodnie jego nie wyjdą na jaw. Nie przeczuwa nawet co mu zagraża. Niebawem spotka go zasłużona kara, a was monsignore i signorę Edytę nagroda za wszystkie nieszczęścia. A teraz spocznijcie monsignore, na tem posłaniu. Przebudziwszy się, znajdziecie w szafie pożywienie i wino.

Rodrigo uścisnął rękę wyławiacza trupów.

— Dzięki za wszystko, szlachetny starcze — rzekł. — Będę korzystać z ofiarowanej mi gościnności i nigdy nie zapomnę złożonych mi przez was dowodów przyjaźni.

— Nie czynię tego dla nagrody, monsignore. Czynię to przez ludzkość, przez wdzięczność dla waszej małżonki, która zawsze była tak dobrą dla mnie, dla mojego nieszczęśliwego dziecka...

W oczach Jacopa zabłysły łzy, nie był w stanie mówić więcej i szybko wyszedł z chaty.

ROZDZIAŁ LI.

Spowiedź Laurety

Strażnik Ludovico wszedłszy z nadejściem wieczoru na swoje stanowisko, zaczął rozmyślać nad niepokojem, który zauważył na twarzy żony i Edyty, rozmawiając z niemi przed chwilą.

— To jakaś nieczysta sprawa — myślał. — Patrzały na drzwi wiodące do izby, z takim niepokojem, jak gdyby kogo w niej ukrywały. Nie podoba mi się, że signorina tak długo przebywa w wieży; dowie się kto o tem i na mnie spadnie cała odpowiedzialność. Ale co znaczyły te spojrzenia, rzucane na drzwi? Szkoda, że natychmiast nie wszedłem do izby. Laureta musi mi powiedzieć prawdę.

Z niecierpliwością oczekiwał poranku, wcześniej bowiem nie mógł zejść ze stanowiska. Ciekawość jego wzrastała z każdą chwilą.

Nareszcie słońce się ukazało. Ludovico szybko szybko zgasił latarnię i zeszedł na dół.

W sieni spotkał Lauretę.

— Czy signora jest w izbie? — zapytał. — Czy znów nie będę mógł wejść?

— Owszem, dla czego nie? — rzekła Laureta. — Signoriny nie ma w izbie.

— A gdzie jest?

— Odjechała!

— To dobrze — rzekł Ludovico i otworzył drzwi do izby. — Czy tu nikt się nie ukrywa?

Laureta zadrżała.

— Co znaczy to pytanie?

— Jestem przekonany, że ukrywałaś tu kogoś! Proszę, powiedz mi kto to był?

Laureta z przerażeniem spojrzała na Ludovica.

— Daj mi spokój. Cóż za głupie pytanie?! — zawołała. — Idę na górę.

— Pozostaniesz na dole, dopóki nie wyjawisz mi całej prawdy. Kto tu był? Czy postanowiłaś mnie zgubić?

Laureta nie mogła powstrzymać łez.

— Nie płacz, tylko mów — gniewnie rzekł strażnik. — No cóż, mówisz czy nie?!

— Dlaczego tak krzyczysz na mnie? — załkała Laureta. — Ładna nagroda za tyloletnią wierność.

— Wierność wiernością, a posłuszeństwo posłuszeństwem. Powiedz mi kogo ukrywałaś u siebie?

Laureta chcąc ujść skutków tej sceny, usiłowała wejść na schody. Ludovico jednak zatrzymał ją. Zrozpaczona kobieta padła na kolana. Strażnik porwał stojący na stole krucyfiks.

— Patrz, tu wobec Chrystusa ukrzyżowanego musisz się wyspowiadać! — zawołał.

— Najświętsza Panno! Co to będzie? Co się stało z moim mężem!... — jęczała kobieta.

— Nic się ze mną nie stało. Pragnę tylko wiedzieć kogo ukrywałaś. Cóż powiesz prawdę?

— Przyrzekłam signorinie, że nie zdradzę tajemnicy.

— Aha! Nie omyliłem się! Dowiedziałem się wreszcie, że ukrywasz coś przedemną.

— Zlituj się nademną — błagała Laureta. — Nie męcz mnie dłużej.

— Musisz wyjawić prawdę!

— Nigdy w ten sposób nie obchodziłeś się ze mną!

— Spełnij moje żądanie, a znów zapanuje zgoda.

— Ależ nie mogę złamać danego słowa.

— Połóż rękę na krucyfiksie i spowiadaj się.

— Nie mogę!.

— Zastanów się Laureto: co cię obchodzą obcy ludzie? Ja jestem twoim mężem, i winną mi jesteś posłuszeństwo. To święty twój obowiązek.

Zdawało się, że wyrazy te przekonały Lauretę.

— Powiedz mi: co uczyniłabyś, gdybym cośkolwiek ukrywał przed tobą? — ciągnął Ludovico. — Sądzę, że byłabyś bardzo niezadowoloną.

— A więc powiem wszystko — rzekła Laureta. — Grzech który popełniam, łamiąc słowo, ty przyjmujesz na swoją odpowiedzialność.

— No, słucham.

— Spełniłam czyn miłości bliźniego, nie popełniłam więc nic złego — drżącym głosem rzekła Laureta. — Signorina Edyta w starej wieży znalazła admirała.

— Admirała? Starca, o którym mi mówił hrabia Mirafiore?

— Był uwięziony w starej wieży.

— I nie żył, kiedy go znaleziono?

— Przeciwnie; był bardzo osłabiony.

— I ukryłaś go u siebie?

— Przyniosłyśmy go tu do tej izby, aby wypoczął przed udaniem się w dalszą podróż.

— Gdzież jest teraz?

— Signorina wyniosła go stąd przy pomocy wyławiacza trupów. Nie wiem dokąd zamierzał się udać, ale to pewna, że umarł w drodze. Oto cała tajemnica.

— W takim razie natychmiast muszę popłynąć do hrabiego Mirafiore i zawiadomić go o zaszłym wypadku — rzekł strażnik.

— Tyle hałasu o takie głupstwo. Myślałam, że mnie bić będziesz.

Ludovico nie słuchał swojej żony, myślał teraz aby jak najprędzej przybyć do Wenecji, lękał się bowiem potężnego senatora, uważanego przez wszystkich za hrabiego Mirafiore.

Nie zwlekając, udał się w podróż. Przybywszy do Wenecji, odwiedził pałac Mirafiore, lecz nie zastał w nim mniemanego hrabiego, pospieszył do pałacu dożów i tu również nie zastał hrabiego, natomiast zaprowadzono go do admirała, zwycięzcy piratów.

Capello zapytał strażnika z czem przybył.

— Otrzymałem rozkaz stawienia się do Wenecji, skoro dowiem się czegoś o hrabiu Mirafiore, admirale, który miał przybyć do Wenecji — odrzekł Ludovico.

— Któż ci dał to zlecenie? — zapytał Capello.

— Jaśnie oświecony hrabia Mirafiore.

— Przyszedłeś donieść o przybyciu długo oczekiwanego admirała?

— Starzec ten przybył i to dość dawno.

Capello zdawał się być mocno zdziwionym.

— Cóż więcej? —zapytał.

— Dłuższy czas był uwięziony w starej wieży.

— W starej wieży, na wyspie San Nicolo?

— Tak, monsignore. Nieszczęśliwy konał z głodu i pragnienia.

— Któż go znalazł?

— Moja żona i signora Edyta Almafi.

— Gdzież teraz przebywa admirał?

— Wywiózł go stary wyławiacz trupów, ale sam nie wiem dokąd. Uważałem sobie za obowiązek donieść o tem zdarzeniu, monsignore.

— Nie domyślasz się, dokąd zawieźli admirała?

— Nie, monsignore.

— Wierzę. A teraz zalecam milczenie, nikomu nie mów o tem. Możesz powrócić na swoje stanowisko.

— A cóż powiem szlachetnemu hrabiemu Mirafiore? — zapytał strażnik.

— Mnie to pozostaw — rzekł Capello. — Raz jeszcze zalecam milczenie; nieposłuszeństwo mogłoby cię narazić na wielkie nieprzyjemności.

Ludovico przekonany ostrzeżeniem admirała, natychmiast pospieszył do swej łódki i puścił się w odwrotną podróż do wieży.

Capello przywołał kapitana Bemba.

— W tej chwili otrzymałem nader ważne doniesienie — rzekł doń. — Dowiedziałem się, że admirał hrabia Mirafiore, którego poszukiwałem na wyspie piratów, przybył do rzeczypospolitej.

— Hrabia Mirafiore jest w Wenecji? — zapytał Bembo.

— Tak, ale wiadomość tę należy trzymać w tajemnicy.

— Zastosuję się do rozkazu waszego, monsignore.

— Przedewszystkiem przywołajcie do mnie starego wyławiacza trupów.

Kapitan oddalił się.

Wiadomość o przybyciu hrabiego silne na admirale wywarła wrażenie. Pragnął jak najprędzej zobaczyć Jacopa, od którego spodziewał się otrzymać pewne objaśnienia. Pełen niecierpliwości przechadzał się po pokoju.

Wypadki zaszłe w Wenecji, uczyniły go nieprzejednanym wrogiem tajnego trybunału i Jinga, względem którego powziął silne podejrzenie. Capello dopomógł w uprowadzeniu doży; gdyby nie on, zamiary sprzymierzeńców księcia rzeczypospolitej, mogły spełznąć na niczem. Teraz cieszył się powrotem hrabiego Mirafiore, do uszu bowiem jego dobiegła wieść, jakoby Wirgiljo hrabia Mirafiore był oszustem, który dzięki podobieństwu do młodego hrabiego, nieprawnie korzystał z majątku i tytułu, stawiającego go na jednym z pierwszych szczebli hierarchji społecznej. (Ciąg dalszy w nast. numerze).

HUMOR

Dobry argument

— Zdradzasz mnie! na marynarce znalazłam włos kobiecy!

— A nie jest to czasem twój własny włos?

— Kłamstwo! Kazałam go zbadać: nie jest farbowany!

Już więcej nie pojedzie

Pimpsztokiewicz wybrał się motocyklem za miasto. Nagle motocykl wpadł na drzewo, a jego właściciel do rowu. Szofer przejeżdżającego auta nachylił się nad rannym Pimpsztokiewiczem:

— Czy pan pierwszy raz jechał motocyklem?

— Nie... — odparł motocyklista. — Ale ostatni...

Znalazł radę

— Moja żona ciągle narzeka na reumatyzm.

— I nie znalazł pan na to rady?

— Owszem. Wkładam sobie watę w uszy.

W wojsku

Przybyli rekruci. Na dziedzińcu koszarowym pułkownik zatrzymuje jednego z nich.

— No, jak ci tu wikt smakuje, co?...

— Dobrze, panie pułkowniku... — odpowiada rekrut wyprężony jak struna.

— A czy porcje rozdzielane są sprawiedliwie?... Czy nie zdarza się, że jeden otrzymuje większe porcje mięsa, a drugi mniejsze?...

— Nie, panie pułkowniku... Wszyscy otrzymujemy jednakowe małe porcje mięsa!

Dobry kolega

Kac spotyka Kotka.

— Co słychać? — pyta Kac.

— Źle... — odpowiada Kotek. — Powodzi mi się coraz gorzej... Nie mam ani grosza... I co najgorsze: — nie wiem od kogo można byłoby pożyczyć kilka złotych...

— Dzięki Bogu...

— Dlaczego?...

— Bo się już bałem, że chcesz ode mnie pożyczyć...

Na polowaniu

Wicek i Wacek wybrali się na polowanie. — Przechodzą przez las.

Nagle z za krzaków wyskoczył zając. Wicek mierzy.

— Pah! — — rozlega się głośny huk, odbijany stutysięcznem echem.

Wacek podskoczył i zatykając sobie uszy, powiada:

— Straszny huk!... Następnym razem nie naciskaj tak mocno cyngla...

Też pytanie

— Panie kapitanie, to prawda, że igła busoli wskazuje zawsze na zachód?

— Tak jest, proszę pani.

— To jak pan postępuje, chcąc kierować statek na wschód?

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 95 groszy, kwartalnie zł. 2,85. Pod opaską miesięcznie zł. 1,50, kwartalnie zł 4,50 Zagranicą 1,50 zł miesięcznie. Wrazie wypadków spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku lub t. p. wydawnictwo nie odpowiada za dostarczanie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.) ulica Śniadeckich 8. Telefon 32.

Rękopisów nie zwraca się.
P. K. O Nr. 207.393.

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,- zł, 1/2 str. 225.- zł i td. Wiersz milimetrowy szerok. 31 mm. 25 gr. Drobne ogłoszenia za każdy wyraz 10 gr, dla poszuk. pracy 50% zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50%. Ogłoszenia przyjmuje się 10 dni przed datą numeru.

Redaktor naczelny i wydawca ALFRED KSYCKI — Redaktor odpowiedzialny MARJA ZEMMLERÓWNA — Drukarnia L. KSYCKIEGO w Żninie.